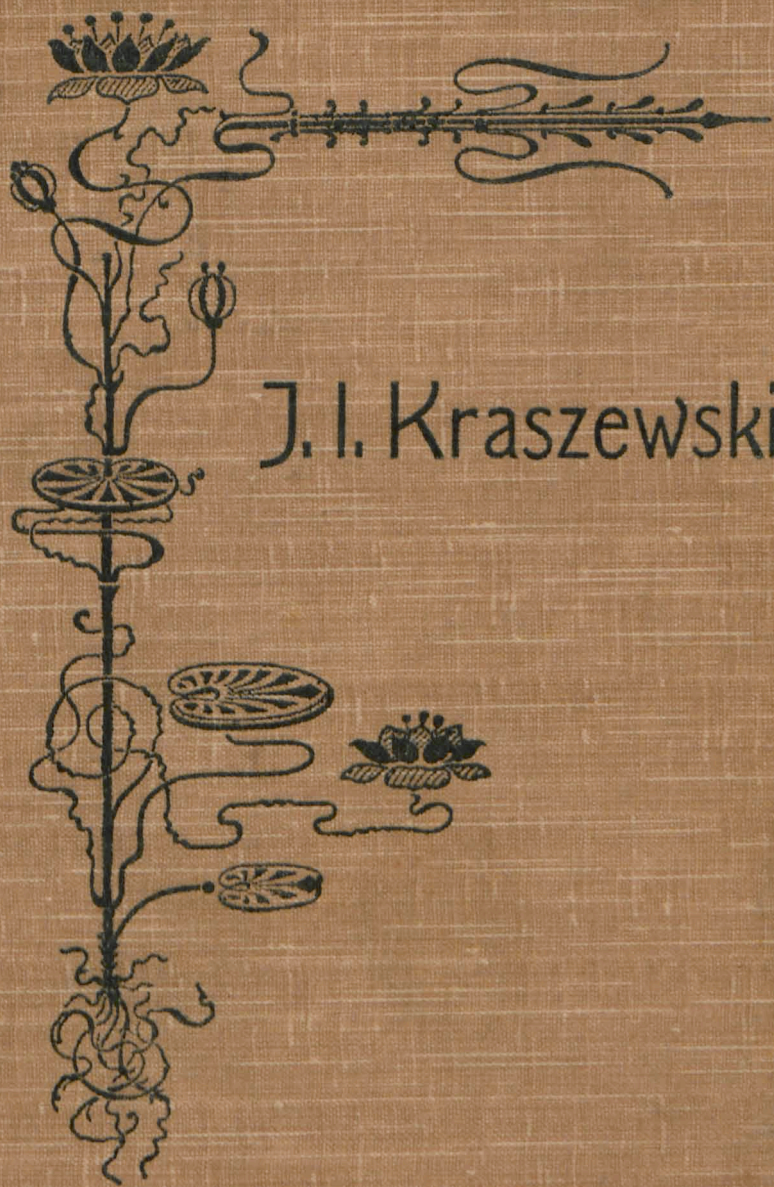




J. I. Kraszewski

BIAŁY KSIĄŻĘ.

J. I. KRASZEWSKI.
POWIEŚCI HISTORYCZNE.
XV.

BIAŁY KSIĄŻE.
CZASY LUDWIKA WĘGERSKIEGO.

T O M III.

W. Dziński

KRAKÓW.
Nakład Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie.
Gebethner i Wolff. | Maurycy Orgelbrand.
Michał Glücksberg. | G. Sennewald.
Edward Wende.
1882.



MuM 232

I.

Nie czekał Sędziwój z Szubina na odpowiedź od księcia, którą Gniewosz miał mu przywieść. Nagliły i inne sprawy nie mniejszej wagi, a wedle przekonania jego, w związku będące z Białego napaścią i warcholstwem.

Wielkopoleanie burzyli się ciągle przeciwko rządowi Ludwika. Spokój przez nich zakłócony nie został dotąd, lecz wojewoda wnosił z pewnych poszlaków, iż lada zrzeczność wybuch spowodzić może. Gdyby się księciu Gniewkowskiemu powiodło — łatwoby za sobą mnogich mógł pociągnąć, którzy na rządy węgierskie narzekali.

Po ustąpieniu Ottona z Piley, po objęciu wielkorządów przez Sędziwoja, umysły się były cokolwiek uspokoiły—nowe rozporządzenie króla Ludwika rozjątrzyło je więcej jeszcze, niż narzucenie Ottona z Piley.

Cheiwym grosza, niezaspokojny tem, co mu rządy matki z Polski przynosiły, król Ludwik wzorem innych krajów, chciał w Polsce powszechną naznaczyć daninę. Nie wyjęte z niej było nawet duchowieństwo, dawniejszymi przywilejami od wszelkich opłat oswobodzone.

Ogłoszono rozkaz Ludwika, mocą którego tak ziemianie jak dobra duchowne, składać mieli do skarbu „poradnie“, królewskiej, z każdego łanu wynosić mającą sześć groszy pragskich i w naturze korzec żyta, owsa korzec.

Na owe czasy podatek to był znaczny, szczególnie dla rozrodzonych, uboższych ziemian.

Małopolska, krakowianie zamożniejsi, zresztą pozyskani już na stronę Ludwika, przyjęli to prawie obojętnie, w Wielkiej Polsce wrzawę podniesiono niezmierną.

Była ona zwiastunką tem upartszego oporu, że duchowieństwo dotknięte, przyłączyło się do ziemian i jawnie trzymało z niemi.

Odgrążano się na wszelki sposób, zjeżdżano, zmagano, wiązano i poprzysięgano, że jeśli król pobór ten wyciskać zechce, wówczas córek jego na tron po nim niedopuszczą.

Stary obyczaj nie znał spadku tronu po kądzieli...

Wrzenie jakie wywołało poradnie, w chwili gdy jeden z Piastów zajeżdżał swą dzielnicę i zamki zdobywał, niepokoiły Sędziwoja z Szu-

bina. Należało mu i Białego jakimkolwiek kosztem odwieść od oreźnego dobijania się swego księstwa i ziemianom dać jakąś nadzieję, że pobór poradnego zostanie zmieniony...

W tym celu, po drodze miał wojewoda, zamówione spotkanie z Domaratem, kasztelanem poznańskim, w wiosce jego na uboczu położonej.

Oprócz nich, przyjazni królowi zjechać tam mieli dla narady.

W kilka koni Sędziwój puścił się do Pierzchna, gdzie Domarat nigdy nie mieszkał, więc i dworu nie miał... Ledwie chatę dla włodarza i szopy dla stada i trzody...

Na łące pod wsią rozbite były namioty... Ziemian zjechało się już dosyć Grzymałów, Łodziów i innych szczytów, które królowi były życzliwsze...

Nadawała się wioszczyna niewielka, a na uboczu położona do tego zjazdu, który nie powinien się być rozgłosić...

Można było sądzić, wjechawszy w zieloną dolinę, otoczoną lasami, w której nad jeziorkiem Pierzchno stało rozsypane, że się tu na jakąś wojenną gotowało wyprawę.

Ziemianie naówczas wszędzie z sobą to rycerskie swe powołanie wzięli i gdziekolwiek zebrali się gromadnie, występowali zbrojno. Był to i obyczaj i potrzeba. Szczególniej w Wielkopolsce rodzin wiele od pra-wieków tu osiadłych i na-

plywowych z ziem innych, wiele z sobą było w nieustannych zatargach. Zwaśnieni, bodaj na gościńcach się spotykając rwali do mieczów, a ktoby bezbronny lub bez ludzi ruszył z domu, życiem to mógł przypłacić.

Kilkunastu gości u Domarata, znaczyło około seciny koni i czeladzi... Obozisk więc zdala był jakby oddziału, co na wyprawę się sposobił.

Namioty szare porozbijano między dębami, niedaleko jeziora, a że izb nie miał na przyjęcie kasztelan, na trawie i pod gołym niebem częstował po staroświecku.

Ludzie jego koly powbijawszy w ziemię, wrota na nich od szop i śpiechrów pokładli, za misy służyły deski i gładysze a prosta glina...

Piwo w beczkach na skrzyżowanych kijach, z kubkami drewnianymi i wiadrami, do orzeźwienia przygotowane było.

Kasztelanowie i wojewodowie nie potrzebowali jeszcze wykwintniejszej strawy ni napoju, przy najmniej w podróży i obozie. Obyczaj smacznego ucztowania, korzennych przypraw, umiejętnie zaprawnych winnych pigmentów i polewek, powoli od Krzyżaków wchodził, lecz brzydzili się nim ci, którzy w prostocie życia zabytek dawnego ojców obyczaju szanowali.

Sędziwój z Szubina w domu własnym przyjmując dygnitarzy i duchowieństwo, musiał na

więcej się zdobywać — lecz w pospolitem życiu, więcej od drugich nie wymagał.

Z czarnego świeżo wypieczonego chleba, krajano kromki potężne — zjadano sér, było pieczone mięso — a przyprawą do tego wesołość.

Zaledwie się zjawił oczekiwany wojewoda, gdy wszyscy się ku niemu rzucili.

Domarat był średnich lat, a wielkich sił i zdrowia rycerskiego mężczyzna, rumiany, hoży, krzykliwy, z sercem na dłoni. Witając wojewodę, z którym żyli w przyjaźni, wziął go wpół i nie mał do góry na żart podniósł.

— Miłościwy panie — krzyknął do swych co go otaczali się zwracając — należałoby was jako zwycięzcę podnieść na rękach...

Okrzyknęli — Żywie! — drudzy czapkami podrzucając...

Wojewoda śmiał się ale półgębkiem, czoło miał zmarszczone.

Tuż stali oprócz Domarta Łodzia zwany Wilkiem, Grzymała Zębacz i kilku innych. Podkanclerzy poznański Iwo, stan duchowny przedstawiał, on też Łodziów szczyt nosił.

— Włocławek się poddał — dodał Domarat — dobry znak, zatem rychło pójda i inne zdradą ubieżone grody...

— Daj Boże, i ja się tego spodziewam — odparł zimno Sędziwój, ale — na to pracować potrzeba. Złe nie śpi.

— Uparać by się z tem jak najrychlej — wtrącił Domarat. — Gdyby Białego który łucznik ustrzelił — nie gniewałbym się. Bogu ni ludziom z niego nic, a póki żyw, my spokoju mieć nie będziemy.

— Jąbym tego przekonania był — zawołał Sędziwój, siadając na pieńku, żeby mu król dał do życia jaki wydział... Siedziałby spokojnie na nim.

— On! — podchwycił Domarat. — Nie utrzymał się w klasztorze, a miałby na małym kęsie dać za wygraną?

Parę miesięcy byłoby cicho... Szepnąłby mu kto... podszczęł, wyrwałby się znowu...

— Przecież go wiek warcholstwa oduczy! — westchnął Sędziwój.

— Ja w to nie wierzę — zakończył Domarat.

Poczęli się wszyscy sadowić, gdzie kto mógł przy wojewodzie, który posepnym był ciągle i w ziemię patrzył.

— Nie w porę nam też król z poradlnem przyszedł — dodał. — Ci co mu byli niechętni pono w niebogłósy znów krzyczą.

— I odgrażają się — rzekł Wilk.

— Po dworach się Nałęcz zjeżdżają i wiecują — krzyku dosyć — mówił Zębacz.

— Bo jest czego krzyczeć gdy skórę drą — wtrącił podkancelrzy poznański Iwo. — Niechbby król z ziemian i kmieci brał, bo mu się coś na-

leży, ale z duchowieństwa!! A toć i nam poradlne dawać każe... W cóż się obróćą stare przywileje!

Ksiądz mówiąc, ożywiał się coraz bardziej, a był snąć gorącego temperamentu, bo mu krew na twarz występowała, i ręce drżały miotając się.

— Każą naprzód poradlne nam płacić, wbrew zwyczajowi, a dalej nas do innych ciężarów wpręgą. Myśmy przecie do tego nie obowiązani... bo gdy rycerstwo krew daje, my między ludźmi a Bogiem związek trzymamy... my dusze dajemy nasze...

Siedzimy na tej ziemi, ale król i pan nasz w Rzymie jest... Ludwik do nas nie ma prawa, ani do dóbr naszych...

Tak ci jest! — dokończył i o stół uderzył.

— Ojcie Iwonie — to i wy przeciw królowi? odparł Sędziwój.

— Nie przeciw królowi, nie — zawołał Iwo — ale przeciw tym, co mu źle radzą.

Zamilkł na chwilę ksiądz i począł wprędce.

— Ale to poradlne nietylko dla nas, wszystkim ono niepomiernie zacieży — Panie Boże odpuść, czy go nie doradził kanclerz Zawisza dla przymilenia się panu — ale mu niem piwa narwarzy...

— Prawda — wmięszał się Domarat — że wrzawa okrutna, że co było ucichło i ułagodziło się, teraz znowu wre... Niechby król pamiętał,

że córki tylko ma, a u nas córki nie dziedziczą... Niedopuszczają ich, ani zięciów do tronu. Głośno to mówią.

— Wiem o tem — rzekł Sędziwój spokojnie — a no, gdy wielka wrzawa zawczasu, to i dobrze... Z wielkiej chmury mały deszcz bywa...

— Nie zawsze — szepnął ksiądz Iwo.

Do pewnej miary człowiek znosi cierpliwie — w końcu oszaleje...

— Właśnie gdy tak źle jest — począł Sędziwój — my cośmy królowi wierni, powinniśmy starać się radzić i złego nie dopuścić...

— Do Krakowaby z tem ślać — rzekł Iwo — my sami nie nie zdołamy; albo raczej do Budy, bo z królową Elżbietą o tych sprawach darmo chcieć mówić — ona odsyła do syna.

— Tak — szepnął śmiejąc się Domarat — a syn odsyła do niej.

Spojrżeli po sobie, głowami potrząśli i umilkli.

— To bieda — dokończył kasztelan.

Sędziwój potoczył oczyma dokoła, jakby chciał się przekonać, że między swemi jest i otwarcie mówić może.

— Trzebaż było na ten czas właśnie, gdy tu się wszystko burzy u nas, aby Biały przyszedł jakby wyzywać niechętnych...

Najmniej mu się poszczęści... gotowi się garnąć do niego... Dlatego wszystko muszę za-

niedbać, a z nim skończyć... inaczej nasza gromadka wiernych królowi...

— Ho! — zawołał Wilk — nie damy się...

— Z tem poradlnem naprzód trzeba końca — wtrącił Iwo. — Póki ono nad nami ciężać będzie, pokoju nie zasuamy...

— O poradlnie pewnie król zjazd zwołać musi... — rzekł Sędziwój.

— Znowu na Węgrzech? — spytał Domarat. Milczenie było odpowiedzią.

— Król daleko odjeżdżać nie może, pewnie nad granicą gdzieś miejsce wyznaczy... — dodał Sędziwój. — A że się spodziewa burzy od ziemian, woli ją przebyć pod własnym dachem...

Na wszystkich twarzach odbiła się ta wiadomość smutnie...

Ten i ów wtrącił coś jeszcze, troska była widoczna, a ks. Iwo więcej niż wszyscy złego przewidywał.

Z mowy jego już przekonać się mógł wojewoda, że duchowieństwo nawet najlepiej dla Ludwika usposobione, zniechęcone zostało i gotowe było opornym podać rękę...

Zafrasował się bardziej jeszcze... Tak upłynął czas do wieczora.

Gdy się to tu działo, Gniewosz powracał od księcia, szukając wojewody. Nie znalazłszy go, nalegając mocno, od dworu jego dostał wiado-

mość, że go w Pierzchnie trzeba było szukać i — nie chcąc z niczem powracać, puścił się za nim.

Już była noc gdy nadjechał. Sędziwój przyjął go bardzo wdzięcznie. Widać było, iż mu rozmowa z księciem była na rękę, w porę i wielce pożądana.

Z Domaratem pomówiwszy, gdy lepszego miejsca, na takie pokątne widzenie się nie było, postanowił tu oczekiwać na księcia.

— Rzeczcie mu, że słowo rycerskie daję, iż ani zasadzki ni zdrady niema się obawiać odepnie... Niech przybywa, wy z nim... czekać na niego będę...

Dano przewodnika przez lasy na krótsze drogi staremu Gniewoszowi, który raz jeszcze puścił się w podróż, pana Boga prosząc tylko, aby Białego zastał takim, jakim go porzucił. Pomimo swojego przywiązania do niego, widział Gniewosz teraz, że na jego stałość liczyć wiele nie było można.

Przypisywał to i położeniu smutnemu i rozdrażnieniu.

Niespokojny oczekiwał na przybycie posła księżę...

Ile razy gniewał się na siebie, iż zezwolił na zjazd z Sędziwojem, i ile razy sobie winał tego, policzyć niemógł nawet Buśko, który z twarzy jego, jak z książki czytał.

Nie przyznał się Biały przed nikim do tego

kroku, którego się wstydził i wyrzucał go sobie. Szczęściem gdy Gniewosz nadjechał, trafił na chwilę dobrą — księżę postanowił był jechać.

Wyobrażał sobie iż powagą swą, wymową, dostojnością ujmie i oślepi wojewodę, a wymoże na nim, co zechce...

Zdawało mu się że sprawa teraz dobrze stała, lepiej niż kiedy.

Sędziwój wzywał go do układów — musiał więc od króla mieć skazówkę i pozwolenie na to.

Myśli tej schwyciwszy się księżę, tryumfujący zawczasu siadł na konia.

Służbie nie powiedział wcale, dokąd się udaje, a dozwalał domyslać się, iż do Drzdenka na krótko jedzie. Nie wziął z sobą nawet Buśka i jeden Lasota mu towarzyszył, a drugi parobczak niemy, którego zwykle używał, gdy chciał zataić, co czynił.

Z Pierzchna część gości się rozjechała naza-jutrz. Oprócz Domarata pozostał ks. Iwo i Wilk. Ostatni spał dnia tego, bo dużo wprzód pił z wieczora.

Sędziwój sam na sam chcąc widzieć się i mówić z księciem, namiot sobie osobno rozbić kazał na piaszczystym brzegu jeziora — ludzi poodprawił i tu niespokojny dość oczekiwał na Białego.

Szło o to wielce Gniewkowskiemu księciu, ażeby postawą nawet i powagą w wojewodzie poszanowanie obudził. Najpiękniejszą więc zbroję,

szaty, łańcuch, płaszcz, włożył na siebie, a im biedniejszym się czuł, tem dostojniejszym chciał okazać.

Przyznać mu też to było potrzeba, że na krótki czas złudzić mógł, umiejac się postawić, jak na Piasta przystało...

Tylko — wprędce to panowanie nad sobą przechodziło — niecierpliwość czyniła go płochym, porywczym, dziecinnym, a powaga cała, przybrana mozolnie, znikła.

Im się bardziej lasami ku Pierzchnu zbliżali, tem książę stawał się niespokojniejszym, konia pędził, nużyło go zbyt dlań długie już oczekiwanie.

Pokazało się nareście jeziorko, wioska i rozbity namiot u brzegu. Książę wysłał przodem Gniewosza. W chwilę potem Sędziwój przyjmował go u progu namiotu swojego.

Byli sami. Biały pomimo wielkiego wysiłku, już ledwie mógł się z krwią zimną utrzymać. Gdy do namiotu weszli, a wojewoda siedzenie ukazał, książę milczący dotąd, spojrzał nań, wyzywając na słowo.

— Wierz mi, miłość wasza — począł Sędziwój spokojnie i chłodno — iż tylko dobra chęć dla niego do tego kroku mnie skłoniła... Nie rokując nic pomyślnego dla was, książę, radbym od twardego losu osłonić... od gniewu króla, od

wszelkiego nieszczęścia jakie na siebie ściągnąć możecie...

Książę poruszył się i przerwał.

— Za dobrą wolę, dziękuję — rzekł — ale nie widzi mi się, aby mi wielkie niebezpieczeństwo groziło. Mam przyjaciół, do stracenia nie wiele, do zyskania — kto wie, ile... Wy też potrzebujecie pokoju...

Sędziwój wpatrzył się w niego.

— Jeżeli książę ludzię się będziesz tem, iż orężem coś na królu wymożesz — niestety — źle się to skończy.

Siły moje są aż nadto wystarczające na opowanie zamków waszych, tak jak wzięliśmy Włocławek.

Ubiedz je niespodzianie łatwo było, nikt nie przeczuwał naówczas żadnej napaści, utrzymać się książę nie będziesz mógł.

Przymuszony uśmiech przebiegł po ustach Białego.

— Król Ludwik jest tak na miłość waszą zagniewany, iż w listach swych rozkazuje mi postępować bez miłosierdzia, bez żadnego względu. Ani za życie wasze ręczyć nie mogę...

Pobladł słysząc to książę.

— Nawet w najgorszym razie — rzekł — królowa mnie obroni.

— Nie wiem — odparł Sędziwój — ale za to ręczyć mogę, iż królowa srogi żal ma do miłości

waszej. Możesz się książę trzymać niewiem jak długo, w końcu wpadniesz w ręce moje — to nieochoyba...

Probował się Biały uśmiechnąć jeszcze, lecz na wpół zarysowany uśmiech jego, zmienił się w wyraz troski, nim rozkwitnął.

Sędziwoj stojąc mówił ciągle.

— Wierzaj mi, książę, słowo rycerskie daję wam — ocalić was pragnę, a ocalenia innego nie widzę nad pokorę i zwrócenie się o łaskę i przebaczenie do króla.

Biały się porwał z siedzenia.

— Ale ja chcę, ja muszę mieć dzielnicę moją — zawołał — to co mi Kaźmirz zapłacił za nią, szyderstwem było nie ceną... Należy mi Gniewków, Kaźmirz niechętnym był dla mnie, uciekać musiałem od gniewu jego... Dzielnica mi się należy...

— Nie przeczę, że i żal i prawo jakieś książę mieć możesz — rzekł Sędziwoj — ale łatwiej zrozumiesz wyrozumienie i łaskę, gdy prosić zechcesz, gdy do serca króla się odezwiesz, niż wyzywając go. Potężnym jest, obraża go to... Król Węgier, Dalmacyi i Polski mocen jest przecie pokonać was, a jeśli nie wywiera całej siły, to dla tego tylko, iż nadto jest jej pewnym...

Biały podparł się na rękę i zadumał.

— Niech miłość wasza rozważy, porachuje co lepsze — dodał Sędziwoj. — Ja zmuszać go ani

chcę, ani mogę, ale proszę byś litość miał nad sobą.

— A wy mi za króla ręczycie? odda Gniewków mój? — zawołał nagle Biały, podnosząc oczy.

— Ja ręczę za to tylko, że waszą sprawę całą siłą moją, popierać będę — odezwał się Sędziwoj.

Nie polecono mi nic — to co czynię, z własnego serca i popędu robię — król nie wie o tem. Użyję wszelkich środków, abym wymodlił u Ludwika przebaczenie...

— Przebaczenie! — podchwycił urażony książę — ale ja ani łaski ni przebaczenia nie żądam — chcę sprawiedliwości!

— Król jest w swem prawie — odparł Sędziwoj. — On wam nie odebrał Gniewkowa, spadkiem po Kaźmirzu go wziął. Nie pokrzywdził was — ale litościwym być i względnym może...

Zachmurzyło się oblicze książęce.

— Wierz mi, wojewodo — rzekł — tak mówiący nie nie sprawiemy.

— Boleć mnie to będzie — rzekł Sędziwoj — a no, inaczej ja nie mogę...

Przerwała się rozmowa na chwilę, wojewoda nalał kubki, podał jeden księciu, a widząc że do ust niosąc swój zawahał się Biały, jakby czegoś w tym napoju obawiał, uśmiechnął się dumnie.

— Oto piję sam — rzekł urażony. — Masz więc

książę dowód iż mu niepodaje trucizny, a kubki zamienimy...

Zarumienił się Biały, zmieszał i żywo kubek podany wychylił.

Roztargniony był, niespokojny i smutny. Sędziwoj pozostał takim jakim był — uprzejmością tylko w przyjęciu nagradzając nieprzyjemne wrażenie, jakie na księciu słowa jego czyniły.

Biały nie poczynił na nowo rozmowy...

Siedział czas jakiś milezący i zatopiony w sobie.

— Najuboższy z ziemian — odezwał się wreszcie — ma kawał gruntu na którym panem jest, miałbym ja ojcowizny mojej być pozbawiony?

— Miłość wasza wyrzekłeś się jej sam — rzekł Sędziwoj — wstępując do zakonu i poprzysiegając ubóstwo. Z tych ślubów, jak u nas mówią, papież go nie rozwiązał, i król stoi przy tem, że książę do zakonu powrócisz...

— Nie — papież mnie uwolni! — zawołał książę — nie myślę wracać — nie!

— I w tem król by być mógł pomocnym, wstawiając się do Rzymu — rzekł wojewoda — lecz potrzeba byś książę go przejednał, a na to sposobu innego niema, tylko... oddać mu zamki i prosić o przywrócenie łask i względów.

Książę potrząsnął głową, lecz poznać było można, iż się te nadzieje z którymi przybył, roz-

chwiały — że osłabł i niepewien był jak ma postąpić.

Sędziwoj powtarzał stale toż samo. Biały coraz się słabiej opierał, naostatek przedłużona aż pod wieczór rozmowa zamknęła się tem, że nie dając żadnej stanowczej odpowiedzi, książę prosił o czas do namysłu dni kilka, i spiesznie konia dosiadłszy, uciekł od wojewody.

W drodze Gniewosz napróżno się chciał czegoś dowiedzieć od niego. Schylony na kark konia, rzucał oczyma dziko, zżymał się przez drogę całą, a przybywszy do Gniewkowa, rzucił się na pościel, na żadne nie odpowiadając pytania.

Nazajutrz wstał rano i poszedł oglądać zamek, liczyć swych ludzi, gniewając się i burząc... Powróciwszy do dworu legł, zawoławszy Buśka do siebie... Śpiewak i baśniarz siedział długo, nim się od niego słowa doczekał.

Zerwał się z łoża i nagle zawołał.

— Buśku — to są wszyscy zdrajcy... Oni mnie w końcu ubiją, albo w ręce królowi dadzą. Wół sam mu się poddać!

Buśko aż poskoczył ze swego siedzenia.

— Poddać się? — krzyknął — mając trzy zamki? — Poddać się?

— Jutro będzie ich może dwa, a pojutrze żadnego — rzekł książę szydersko. — Ludzie ucie-

kają, z ziemian już połowy nie stało... Wielkopoleanie co mnie w to wciągnęli, opuścili... znikli.

Wolałbym być Boga chwalić u Śgo Benigna.

Zadumał się bajarz stary.

— A! tak — rzekł — wino było dobre, ale strawa brzydka i księża surowi... Wolę tu albo we Drzdenku, choć tam mnie piwkiem poją.

Przeszedł się książę po izbie.

Czas uproszony do namysłu jeszcze był nie upłynął. Jednego dnia napadła go chęć wojowania; kazał częstokoły bić na wałach i natychmiast odwołał rozkaz...

Ciągnęło się tak dni kilka. Nikt już nie mógł odgadnąć co książę myślał, ale ci co do niego przystali, coraz mniej mając w nim ufności, uchodzili.

Jakieś tajemnicze przygotowania zaczęły się około księcia, wysłał Gniewosza, nie pytał już ani o Złotoryę, ani o Szarlej — i — niespodzianie zniknął w nocy...

Buśko tą razą mu towarzyszył, Lasoty nie brał z sobą.

Jednego ranka siedział w Wielkiej Wsi Derśław od skwaru się schroniwszy do chłodnej izby, w której ciemność panowała — i, prawdę rzekłszy, drzemał, gdy usłyszał w progu powitanie.

— Niech będzie pochwalony.

Przetarł oczy, stał przed nim Lasota.

— A ty tu co robisz? — zawołał porywając się Nałęcz.

— Przybyłem was o gospodę na jaki czas prosić — odezwał się Nałęcz.

— Książę cię odprawił?

— Nie... ale nam uszedł do swych przyjaciół do Drzdenka, a zamki królowi poddać kazał, choć na rok żywności miały, i bardzo się w nich mógł jeszcze bronić, gdyby chciał i umiał.

Uderzył w szerokie dłonie Derśław.

— Otóż masz, Piastowska krew, i nadzieje nasze na nich! — krzyknął, rozgniewany i oburzony...

Trwało to chwilę, uspokoił się natychmiast Nałęcz.

— Ha! — rzekł — indziej sobie i kogo innego szukać będziemy musieli.

Jeżeli Sędziwój sądzi, że tem już skończy wszystko — to się myli... Jeszcześmy nie dali za wygraną.

To mówiąc wychylił się, do drugiej izby przeszedłszy, przez otwarte okno, pięść złożył i zatrał w nią znanym sposobem.

W czwał nadleciał chłopak.

— Niech mi wnet siwego kulbaczą — krzyknął — a żywo.

— A no, wieczór nadchodzi — odezwał się Lasota.

— Tem lepiej, bo skwar przejdzie — odparł Dersław — trzeba się Nałęczom naradzić co czynić. Prawdę rzekłszy, rachowaliśmy na Białego, już, już a bylibyśmy go podparli i pomagali mu, ale na słomie się nie opierać!!

Splunął stary.

— Konia! — powtórzył raz drugi, zwrócił się do Lasoty.

— A i ty musisz ze mną — dodał — żeś tylko co zsiadł z konia, to nie szkodzi w twoim wieku nic... Będziesz mi potrzebny...

Nie pożegnawszy żony ani córki, Dersław wdrapał się na konia z pieńka u wnijscia, i oba ruszyli wyciągniętym klusem.

II.

Rok upływał, jak książę beczynny na zamku w Drzdenku gościł. W początku miał nadzieję pewną, że król ujęty jego pokorą, co najmniej mu Gniewków powróci. List pokorny i błagający wyprawił do królowej Elżbiety, zdawało mu się z dnia na dzień iż goniec powinien nadjechać z Budy... Słał nieustannie do Sędziwoja, domagając się skutku jego obietnic, wojewoda odpowiadał że od króla nie było nic...

Jawnem się wreszcie stało, że król Ludwik, odebrawszy swe zamki, uspokojony, niedowierzający, żadnej siły nie chciał dać temu, który jej mógł nadużyć...

Gdy po zdaniu zamków, którego się nikt nie spodziewał, bo powodu do tego kroku, jawnego nie było, Biały ze swym dworem, wozami i końmi zawitał po raz pierwszy do Drzdenka, prosząc

Bodeczy o gościnność i spowiadając mu się z tego co uczynił; Fryda, dowiedziawszy się o tej dobrowolnej abdykacji wybiegła rozgniewana, rozpłomieniona, bez mowy, drżąca, z rękoma załamane. Nie chciała wierzyć tak niecnemu podaniu się — nie mówiła do księcia, odwracała się od niego.

Nie mały trud miał Biały nim ją potrafił ubłagać, uspokoić i wytłumaczyć jej że w ten sposób tylko dzielnicę swą odzyska.

Śmiała i przenikliwa kobieta rzuciła mu w oczy wymówkę najboleśniejszą tchórzostwa i łatwości.

— Nie dostaniecie teraz nic?—zawołała mu — nie! bo się was i nie lękają i nie potrzebują...

Jednakże oczekiwano choć niecierpliwie się zżymając, odpowiedzi. Biały pozostał w Drzdenku, pił i rozprawiał z Ulrykiem i Dobrogostem, ścigał do siebie potajemnie przyjaciół... na przemiany rojono nadzieje i obmyślano plany zemsty, gdyby się nie ziściły.

Po kilku miesiącach, po coraz zimniejszych odpowiedziach Sędziwoja — nie było już wątpliwości, iż księcia zbywają niczem...

Byłby się może dał zrażony i zniechęcony, zamknąć gdzie w klasztorze i przyjął opactwo na Węgrzech, gdyby nie Fryda...

Ona mu niedawała pokoju... Ona ścigała do Drzdenka ludzi, kupowała mu sprzymierzeń-

ców, wymyślała różne środki rozpoczęcia na nowo tego, co raz tak nieszczęśliwie się skończyło...

Łatwy do przekonania, zmienny a słaby, książę poszedł pod jej rozkazy. Drzdenko stało się gniazdem nieustannych narad i przygotowań. Dniami i nocami przyjeżdżali tu wysłańcy i biegli słudzy na różne strony... Zaciągano ludzi, których oddziały w sąsiednich lasach utrzymywano, dopóki by ich nie zebrało się tyle, aby coś z nimi rozpocząć można.

Stary Bodecza, synowie jego Ulryk, Dobrogost i Arnold, czynnie księciu pomagali... Nie było dnia bez zjazdu w Drzdenku lub okolicy. Ociągającego się księcia sromem wypędzała Fryda, zmuszała go do czynności, i na ostatek rozbudziła w nim ducha aż do szaleństwa.

Znowu mówił o mieczu swym, o waleczności o tem że musi być zwycięzcą lub umrze...

Dawnych pomocników z Gniewkowa, ze Złotoryi ścigano pieniędzmi i obietnicami.

Cały ten ruch, nie uszedł baczno oka Sędziwoja z Szubina...

Niepokojo się nim nieco w Poznaniu i nąglądano z daleka.

Śczęściem Wielkopoleanie zawezwani na zjazd do Koszyc, gdzie się o królewską przysługę mieli z Ludwikiem rozprawić — przewódzcy ruchu, głowy bez których się nie poczynano — nie

byli w domu — nie potrafił więc Biały wielkich sił z Wielkopolski ściągnąć — choć na niechęć kraju tego, coraz jawniejszą rachował.

Pomimo to, z różnego ludu wałęsającego się po nad granicą, z ludzi luźnych, gawiedzi cheiwej zarobku, a lekko ceniącej życie, kupka się jakaś zebrała...

Szpiegi Sędziwoja donieśli mu o niej, podsluchano, że Biały miał nadzieję naprzód napaść Złotoryę...

Rachowano na to, że dowództwo nad nią oddał był Sędziwój szwagrowi swemu, owemu Krystynowi ze Skrzypowa, któregośmy u niego widzieli. Wymodlił on je sobie na klęczkach...

Gdy niebezpieczeństwo zagroziło Złotoryi — Sędziwój postrzegł iż na szwagra niewiele liczyć może, ani na czujność jego, ani na odwagę. Doniesiono mu, że Krystyn po całych dniach z łada pacholkami pijąc, zabawiał się... Postanowiono więc zastąpić go kim innym...

Wszystko co się działo w sprawie Białego księcia — naprzód szło do Frydy Bodezanki, a przez nią dopiero dostawało się do niego...

Księżę siadywał rycersko i starannie ubrany po całych dniach w jej izbie, słuchał co mu mówiła, napawał się tem, rozgrzewał — i posłusznie kroczył gdzie mu wskazała...

Dnia tego nad wieczór znajdujemy go także w komorze Frydy, która trzymała przy sobie

chętnie księcia, z obawy aby zostawiony sam sobie nie zmienił usposobienia...

Na przemiany śpiewając mu rycerskie pieśni, opowiadając dzieje bohaterów i szczęśliwych zdobywców państw i królestw; śmiejąc się z nim, przynosząc mu czasem upiększone wiadomości i nie całkiem prawdziwe z kraju poselstwa, Fryda umiała go zagrzewać tak, aby się do nowego trudu nie zuiechęcił... Obiecywała mu powodzenie nieochoybne...

Podbudzony przez nią księżę nietylko już w nie wierzył, ale śmiałymi nadziejami ją wyprzedzał.

Uległy tej kobiecie, którą za narzeczoną swą uważał, bez której żyć nie mógł, jak powiadała — głośno oświadczał iż ją poślubi; że gotów jest sam iść o to prosić papieża...

Fryda pierwsza obmyśliła opanowanie Złotoryi, budując je na nieopatrności i pijaństwie Krystyna. Miała tam już swoich ludzi, stosunki, przekupionych w załodze, którzy wrota otworzyć mieli.

Patrząc na ich dwoje, gdy razem z sobą byli w tej komorze Frydy; na niego rozpartego na wygodnem siedzeniu, pobrzękiwającego na cytrze, zapatrzonego w pułap, bawiącego się albo jej różańcem na stole rzuconym, lub rąbkiem zapomnianym — rozprawiającego o przyszłości, jakby baśń układał, a na nią żywo poruszającą się,

odpowiadając krótko i rzeżko, spoglądając nań z góry, rozkazującą — można było posądzić, że on był przebraną niewiastą, a ona mężczyzną.

Biały coraz większe dla niej miał uwielbienie, chciał się podnieść w jej oczach, bo mu często dokuczała szyderstwy, aby go do czynności pobudzić.

Dnia tego, Fryda wyszła była z komory swej na chwilę, bo ją często odwoływano. Niespokojną była i rozdrażnioną. Na zapytania księcia nie chciała jednak odpowiadać, bo zwykle tała przed nim wszelkie trudności i małe niepowodzenia aby go nie zrażać niemi.

W czasie niebytności jej, Biały w myślach się zatopił, zachmurzył... Nie lubił być sam z sobą, bo go złe przeczucia ogarniały... Potrzebował zawsze kogoś, coby w nim wygasający ogień podniecał.

Najmniej do tego przydatnym był Bodeza, małowówny i ocieżały, zabawiający przyszłego zięcia namową do kufła, bez którego sam obejść się nie mógł. Ulryk, Dobrogost, lub Fryda najmiłsi mu byli, a w niedostatku ich, choćby Buśko, który albo śpiewał, lub śmieszył go, albo słuchał niedorzeczności które prawił.

Na dłuższy nieco czas pozostawionym sam sobie, książę zaczynał tęsknić i znajdować że — niepotrzebnie narazić go chciało na nowe niebezpieczeństwa...

Sądził że — jadąc do Budy, do królowej siostrzenicy, dalekoby tam więcej i łatwiej mógł sprawić nad to, co mu kazano takim trudem zdobywać...

Myśli te już go całkiem zaczynały opanowywać, gdy drzwi otworzyły się z łoskotem, i Fryda weszła, krokiem zwyczajnym, z piosenką na ustach.

Wzięła się rękami w boki, postawę przybrała mężką i stanawszy naprzeciw księcia, zawołała.

— No—rozbudźcie się! widzicie że wam dobrą wieść przynoszę!

Książę, który był rozciągnięty niedbale na siedzeniu, porwał się.

— Dobrą? — zapytał.

— Tak — bo ja tylko dobre zawsze wam przynoszę! Toście już wiedzieć powinni.

Nie mówiąc nic — czekał książę na obietnicy spełnienie... Fryda patrzała nań z rodzajem politowania.

— Dwa dni — zawołała wesoło — chodziłam z kamieniem na piersi... O mało nie rozbiło się wszystko o przenikliwość tego przekłętą klamecy Sędziwoja, który raz już was uwiódł...

Wicieć że w Złotoryi dowodzi szwagier jego Krystyn, który pije po dniach całych, a po nocach jeśli nie pije, to śpi pijany. Takiego nam tam właśnie było potrzeba...

Sędziwój precz go chciał wziąć ze Złotoryi, bo już coś czuje i obawia się o nią.

— O! niegodziwy! — zawołał książę — ale cóż na to poradziście?....

— My? nie — ale Krystyn sobie poradził. Srom dla niego okrutny być wyrzuconym — pobiegł do szwagra, pojechała z nim żona, jeli modlić i błagać...

Fryda w ręce klasnęła.

— Wrócił Krystyn nazad do Złotoryi, po-przysiągłszy tylko, że jej do zdechu bronić będzie...

— No! i na ostrożności się teraz mieć musi! zawołał Biały — cieszyć się niema czem...

— Oh! oh, stary pijanica — zaśmiała się Fryda. — Oprze się on nieprzyjacielowi, nie wątpię, że z mieczem w ręku biłby się do ostatniej krwi kropli, ale miecz mu wytrącimy z dłoni.

Przykaż książę swym ludziom, aby pod Złotoryę byli gotowi i — zbliżyli się ku niej.

Zdumiony patrzył na nią Biały, śmiała się Fryda...

— Mam tam — rzekła — dobrze opłaconych ludzi, rybaków, którzy mu jutro wieczorem dobrą baryłkę mocnego wina z Torunia przywiozą i — pić ją z nim będą.

— Z rybakami, on? — zapytał powątpiewając książę.

— Piłby choćby z parobkami, byle pić, a wino było dobre — podchwyciła Fryda. Przyrzekli mi, że go w śmierć spoją.

Naówczas gdy jak kłoda leżeć będzie, mamy ludzi co nam wrota otworzą. Zamiast krwi przy zdobyciu Złotoryi, poleje się — tylko wino!

To mówiąc i uderzając w ręce, zawróciła się z poskokiem i zawołała nakazująco.

— Ale rozbudź że się, książę! Wstań, idź, każ ludzi pozbierać, bo się pewno po wioskach rozleźli. Nie trać czasu, żywo!

Książę chciał już odcodzić posłuszny, gdy Fryda go, kładąc rączkę na ramieniu, zatrzymała.

— Złotoryę tak jak mamy! — rzekła — jestem swojego pewną! Nie popsujże mi książę znowu, to cośmy ledwie w części mogli naprawić.

Biały słuchał z pewnym rodzajem upokorzenia...

— Tak! — dodała — książę jesteś nadto dobrym... nadto łagodnym... Potrzeba być nie-ubлагanym, trzeba być okrutnym... Niech wszyscy drżą przed księciem... Pamiętaj!!

Stał jeszcze zadumany książę, jakby ważył co mu powiedziano... i chciał coś odpowiedzieć na to, gdy Fryda wyciągnęła rękę z uśmiechem.

— Daj mi na to rękę i słowo! — zawołała — będziesz srogim! Wielkie dzieła nie dokonywają się miękką ręką, krew lać się musi... Kto chce panować, musi walczyć, a co mu na drodze staje sprzątać... Tylko grozą dokazać coś można.

Pały się jej oczy gdy to mówiła, rozjaśniła twarz, pierś poruszała się żywo, uczucie odmło-

dziło ją, stała się piękniejszą niż była, Białą pod urokiem tego blasku, który twarz jej rozjaśnił — wyciągnął dłoń, objął ją drugą ręką i chciał do piersi przycisnąć, ale mu się wyrwała.

— Idź że księżę — zawołała natarczywie — dość będziemy mieli czasu na słodkie słowa... gdy zostaniesz zwycięzcą, gdy będziesz tym kim być powinienes... Idź.

Jak popchnięty słowy temi, księżę upojony, rozżarzony, wybiegł żywo, wołając na swych dworzan...

Wprędce potem zatętniało, Fryda patrząca z okna, widziała jak siadł spieszenie na konia, i ku lasom się oddalił.

W Złotoryi w istocie dowodził znowu Krystyn ze Skrzypowa, ale, choć poprzysiągł bratu żony iż nie zaśni godziny jednej, że czuwać będzie dniem i nocą, a za Złotoryę gardłem ręczy, powróciwszy naprzód zażądał napoju, którego mu żona odmówiła.

Powstała ztąd kłótnia małżeńska — pojono go wodą, dając jeść co chciał, Krystyn był wściekły. Żona stała na straży...

W tem wieczorem znać dano, że rybacy przynieśli mu podarek... Ogromny szczupak wzbudził podziwienie wszystkich, ale oprócz niego pod połą siermięg ukryta była barylka wina...

Krystyn wziął ich na rozmowę do siebie... Tu się dopiero okazało, jak pocziwi ludzie

byli ci rybacy. Na widok barylki starosta odżył...

Natychmiast musiano skosztować napoju. Wino było z krzyżackiej piwnicy z Torunia, i jak upewniał Sumak, starszy rybaków, to właśnie, które tylko sam mistrz pijał z marszałkiem.

Nalano kubki.

Zapóźno dowiedziała się o nich żona, chciała barylkę zabrać, ale Krystyn postawił się jej tak groźnie, iż ze łzami ująć musiała. Aby nie była przeszkodą wesołej chwili, zamknęto płaczącą babinę.

Zaczęli pić natychmiast, na złość upartej niewieście.

Sumak i Trzysz, dwaj wybrani do upojenia Krystyna rybacy, sławni byli z głów twardych, lecz i starosty lada czem powalić nie można było... Barylkę dopijano gdy jeszcze stary szermierz przytomnym był i trzymał się na nogach... Trzysz na dany znak, wskok popłynął po drugą. Tymczasem Sumak pilnował, aby pierwsza wysuszona była do dna.

Starosta i rodem i stosunkami wielki pan — przy kubku najlichszego człeka do siebie przypuszczał i tak się z nim godził, jak gdyby nigdy z lepszymi nie bywał. Z prosta go żartami zabawiając grubemi, Sumak pilnował, aby na jego jeden kubek, starosta dwa i trzy wychylał.

Więc choć głowę miał dobrą, gdy barylkę

kończyii, już w niej nie było bardzo jasno, tylko hnmor coraz lepszy przychodził.

Trzysz, który po wino do Torunia popłynął, oprócz tego, jakie dla starosty miał przywieść, beczkę miodu starego, mocnego dla czeladzi z sobą zabrać postanowił, a starosta sam pijąc, dla załogi też piwa kazał wytoczyć z odbitej gwałtem piwnicy.

Starszyzna zamkowa piła w jednej izbie, rybacy ze starostą w drugiej, czeladź na podwórcach, i jak się wzięła ta pijatyka z wieczora — końca jej nie było. Krystyn gdy raz sobie podchmielił, obyczajem nałogowych pijaków, pragnienia dostawał nienasyconego, lał w siebie i w drugich bez miary i końca.

Zagrzany winem, które mu coraz lepiej smakowało, gębę też rozpuścił i plótl co miał na sercu, a że na nim kamieniem leżało to, iż mu Sędziwój nie dowierzał i z zamku chciał wyrzucić, a innemu go dać — ciągle powtarzał.

— Ogadali mnie źli ludzie, że ja już do niczego i nawet tej dziury obronić nie potrafię... I od kogo? od takiego trutnia jak ten Biały książę, który garść ludzi ma ledwie, ciurów, włóczęgów, żebraków!

Otóż — niech przyjdzie, niech przyjdzie, niech spróbuje, a ja mu tu pokażę co Krystyn ze Skrzypowa może!! Ja im pokażę.

Sumak i przybyły z nową baryłką Trzysz, potakiwali mu w najlepsze.

— Co tu się bać? Kogo! Tego wywłoki, który ani pieniędzy, ani wojska niema...

Starosta się odgrażał.

— Jaby m chciał, żeby on się na Złotoryę porwał; dałbym co za to... bobym go zbił, albo może i pochwyił.

Mówią na mnie żem stary, niedołęga i — piję. A pewnie że piję, gdy jest co pić, bo mnie to życie daje...

Słuchaj Sumak — dodał — ty, choć prosty rybak, ale człek dobry i na winie się znasz... Ja prze twoje piję...

Pił potem prze zdrowie Trzysza, a później i Krzyżaków, co mieli rozum i takie wino sprostowali.

Śmieli się i podśpiewywali. Sumak i Trzysz patrzyli tylko rychło go upoją. Byłci dobrze oszołomiony, lecz jeszcze zmysłów nie stracił...

Nalewano więc dalej a zachęcano, aby w baryłkach nie zostało.

Czeladź i starszyzna już w znacznej części była snem zmorzona i legła gdzie kto mógł, na ławach, na stołach, w przedsieniach i w podwórzu pod ścianami. Na zamku coraz się robiło ciszej, noc już była późna, a starosta jeszcze opowiadał swym towarzyszom dzieje dawne, szczególnie wypadki w których on wszystkich po-

grzeblszy przy pijatyce, sam został, prawie trzeźwym i ani go potem zabolala głowa.

Jednakże wśród tych gadek i śmiechów, Sumak postrzegł, że starosta chwiał się na jedną i drugą stronę, głowa mu opadała na piersi, usta stały otworem, a oczy się mimowolnie kleiły.

Widząc to rybacy jeszcze kubek mu naleli, namówili że wypił i pokłoniwszy się do nóg, a polecając łasce jego, na co im bełkotaniem odpowiedział, odeszli.

Miało się na brzask, gdy wszystko w zamku we śnie głębokim pogrążone zostało. Była to wigilja Wniebowzięcia N. Panny, więc nikt dla tak świątecznego dnia nie potrzebował nazajutrz do pracy się spieszyć i zasypiali wszyscy szczęśliwie...

Sumak i Trzysz chcieli się wydobyć z zamku aby dać znać iż pora nadeszła kusić się o zdobycie jego, lecz nie mogli znaleźć nikogo i dobudzić się, aby im furtę otworzył. Sami zaś nie umieli i nie mogli sprostać zamkowi.

Kluczów nie wiedzieć kędy było szukać. O mało więc cały ten podstęp i zachody nie spełzły na niczem. Czas upływał, ludzie mogli wyśpać się, przetrzeźwić.

Tymczasem ci, którzy obiecali dopomagać, tak spali jako i drudzy. Sumak nadaremnie szarpiąc ich i bijąc usiłował rozbudzić.

Musiał więc ostatecznego użyć sposobu, i wleższy na blanki, że się spodziewał kogoś z ludzi Białego w pobliżu, począł wołać — Bywaj!!

Jakoż gdy trzykrotnie na różne strony powtórzył wołanie, posłyszał sykanie i lekkie huczki od dołu...

Pochyliwszy się — znowu nawoływać począł.

— Drabiny przystawiajcie, a ręczo, bo teraz wszyscy śpią. Wrót otworzyć nie ma komu!...

Znalazły się snać przygotowane drabiny i w chwilę potem, na blanki drapać się zaczęli co najśmielsi. Tu ich Sumak i Trzysz przyjmowali, napędzając, aby się nie ociągali.

Wszystko było we śnie pogrążone.

Ze dwudziestu naprzód ludzi po drabinach wpadło na zamek, i zaraz po podwórce się rozsypali wiązać pijanych, a broń im odbierać, co się tak szczęśliwie udało, że nikt prawie nie krzyknął, a wielu nie czuło co się z niemi dzieje.

Kilku do furty się dostało, i kluczy nie szukając wylamali ją łatwo. Stał tedy zamek otworem już dla reszty i cała gromada Białego pod dowództwem Drzazgi na zamek wtargnęła.

Nie spieszo do starosty, bo Sumak ręczył że leży jak kłoda i ani go wiązać ani się o niego lękać nie potrzeba...

Zabierało się na dzień, gdy wszystko było skończone, a dwaj rybacy pospiesznie uszli.

Drzazga mając sobie wskazaną izbę Krysty-

na, postawił u drzwi straż. Umówionem było z księciem, który sam się narażać nie chciał, pewnym nie będąc powodzenia, iż miał w miejscu bezpiecznem oczekiwać na wiadomość.

Posłano do niego gdy wszystko było skończone, a nawet załogę pobraną w niewolę, powiazaną do lochów sprzątnięto.

Książę nadjechał zdyszany, rozgrzany bardzo i uradowany. Utkwiło w nim to słowo Frydy, które obiecywał sobie wziąć za skazówkę i być mu posłusznym — słowo zalecające nieubłaganą surowość.

Przypisywał teraz sam wszystkie swe niepowodzenia zbytnej powolności i pobłażliwości.

Przez cały więc czas gdy do zamku jechał, najuroczystsze sobie samemu dawał słowo, po-przysięgał iż będzie postrachem, będzie tyranem okrutnym—gdy na nieszczęście inaczej nie można było być zdobywcą...

Pierwszy przykład srogości tej, chciał zaraz dać na Krystynie ze Skrzypowa. Nie mu ten winien nie był, ale jako szwagier Sędziwoja z Szubina, przeciw któremu Władysław pałał największą żądzą zemsty—musiał za niego pokutować.

Biały, który miał przy sobie jednego Buśka, do którego mógł mówić otwarcie, potrzebując wywnętrzenia się i przechwałki — odwrócił się do niego.

— Słuchaj Buśku? Z Krystynem starostą — co zrobić? Powiesić go? he?

— Paneczku... na Chrystusa Zbawiciela, a toż za co?

— Za co? łajdak jest! pies jest! niegodziwiec. Odgrażał się przeciwko mnie, bezcześcił, nazywał wywłoką... Są ludzie co słyszeli! — wołał Biały gorąco. — Dosyć wreszcie że Sędziwoja szwagier... za to wisieć powinien...

Buśko głową kręcił.

— Miłościwy panie — rzekł — jak wy zaczniecie wieszać, to oni nas potem będą też ciągnęli do góry. A, uchowaj Boże — mnie wezmą...

Książę się po swojemu zadumał.

— Paneczku — rzekł Buśko. — Wieszać to z tego nie nikomu nie przychodzi... chyba krókom i robaetwu... Czy nie lepiej okup wziąć, a teraz go do ciemnicy posadzić?...

— Na Boga! rozum masz! — krzyknął książę. Rzucić go okutego do więzienia — i niech Sędziwój ratuje męża siostry... tysiąc kop...

Buśko się rozśmiał.

— Tyle on nie wart — rzekł — jabym go za pięćset dał wygłodziwszy...

Biały nie odpowiedział, bo właśnie stanął u otwartej bramy.

III.

Piękny ranek sierpniowy oświecał obraz, który oczom księcia mógł się też wydać bardzo uroczym. Malowniczym był w istocie.

U wrót otwartych, których brona była podniesiona, stała kupa wesółych, śmiejących się, pokrzykujących ludzi...

Ktoby nie wiedział z czego się składało wojско Białego, spojrzawszy na tych ciurów, łatwo by poznał, zbiegów, włóczęgów, warcholów i hołyszów po gościńcach i lasach pozaciąganych.

Wprawdzie ledwie najdostojniejsze dwory i pułki naówczas jednostajnem uzbrojeniem i strojem pochwalić się mogły, lecz najlichszy dwór biedniejszego nawet ziemianina — czyściej i porządniej wyglądał niż Władysławowskie ciury...

Ani wzrostem, ani twarzami, ani plecią, ni postawą dwu prawie nie było do siebie podo-

bnych; tylko włóczęga, tulanie się po lasach, niewygody i ubóstwo czyniły ich z sobą pokrewnemi. Nie było na jednym opończy całej, kołpaka niepomiętego, zbroi nie potłuczonej, a uzbrojenie każdy miał różne, wszyscy najlichsze, toporki, mieczyki, ładajakie cepy łańcuszkami związane, oszczepy stare, łuki swojej roboty, tarczki z drzewa, nędznie skórami, co się same na powietrzu wyprawiały, powleczone...

Na nogach od skórzni podartych, do łapciów i chodaków, przez które palce patrzyły—wszystko tam było, prócz porządnego obóvia.

Dwóch czy trzech chlubili się żelaznemi garnuszkami na głowach, staremi, i bez nosów...

Inni chustami mieli powiązane głowy, z pod których rozezochrane włosy widać było...

Pomiędzy tą osobliwszą gromadą i jasne włosy, jak len kędziory i czarne jak smoła i strzyżone i długie się mieniały, tak jak wzrosty od najogromniejszego olbrzyma do przysadzistego karła.

Chociaż przy zdobyciu Złotoryi do żadnego krwi przelewu nie przyszło, niektórzy z nich krwią byli pomazani pozasychała, inni mieli świeże blizny i pozalepiane liśćmi zielonemi rany. Stojąc dosyć długo w lesie, gawiedź ta karmiona i pojona staraniem Frydy, przy kościach i przy misach, tłukła się i zabijała — ledwie ich starszyzna od tego mogła powstrzymać.

Wszystko to w lesie dzikim, w pół cieniu,

a mroku mogło się wydawać mniej straszmem, mniej wstrętnem, ale teraz o białym dniu, w blasku poranka — ohydne było.

Księżę spojrzawszy na to wojsko swoje, którego dowódcy, z wyjątkiem Drzazgi, nie lepiej się stawili — zarumienił się ze wstydu, serce mu się ścisnęło, upokorzony był tem, że zszedł na taką szuję...

On co na dworach cesarskim, papieżkim, Ludwika i tylu innych napatrzył się pięknego rycerstwa i sam wytworność lubił — zmuszony będąc posługiwać się temi zbójami pozbieranemi po lasach... uczuł gniew w sercu do tych, co byli jego upadku przyczyną. Na myśl mu też przyszło, jak on z taką zbieraniną odpadków ludzkich, ze śmietniska zgarniętą — potrafi się oprzeć wojsku Sędziwoja i króla Ludwika, jak będzie mógł ład i karność wśród nich utrzymać?

Na okrzyk wrzaskliwy, którym go powitano, księżę ledwie dumnie głowy skinieniem odpowiedział, koniowi dał ostrogę i przebywszy most, wpadł na podwórcę...

Tu, jeszcze z konia nie zsiadłszy, groźnie zawołał gdzie był Krystyn starosta?

Drzazga stojący tuż odparł że śpi upojony, a straż ma u drzwi...

— Okuć go natychmiast i do najgłębszego wrzucić lochu... na chleb i wodę, pana szwagra wojewody...

Z okna zamku usłyszała ten wyrok okrutny, stara żona i z krzykiem boleści, z załamanemi rękami wybiegła do księcia, rzucając się przed nim na kolana.

Cała we łzach, na pół omdlała — niewiasta, wzbudziłaby politowanie w każdym, i księżę by też może miał nad nią miłosierdzie, gdyby świeżo nie poprzysiągł sobie, że okrutnym będzie...

Kazał ją odwracając się, pacholkom wziąć pod ręce i precz wieść, a zamknąć.

Rozległy się jęki i szlochanie, lecz księżę był w takim usposobieniu, iż boleść ta jeszcze go uczyniła zajadlejszym.

Przypomniał sobie iż ta kobieta była Sędziwoja rodzoną.

— Zamknąć mi i tę babę — zawołał — żeby wrzasku jej nie słyszał.

Gdy się to w dziedzińcu działo, pacholkomie, którym rozkaz dano okuć starostę, rzucili się z bydlęcą radością na niego, zrzucili uspiętego z łoża i ledwie rozbudzonego poczęli targać, miotać nim, najgrawać się, wiązać, wołając o łańcuchy...

Krystyn oprzytomnieć nie mógł. Jeden z pacholków wylał mu wiadro wody na głowę. Aż na dziedzińiec dochodziły wściekle jego krzyki. Wrzawa ta z którą się mieszały śmiechy oprawców, szczęk mieczów, brzęk niesionych kajdan — wcale nie razila Białego.

Zdało mu się, że teraz dopiero szło jak iść było powinno...

Buśko, który z konia się stoczywszy, poszedł pod ścianę pot z czoła ocierać, patrzył na swego księcia i poznać go nie mógł. Nadzwyczaj był czynnym, sam się we wszystko miewał, rozporządzał, rozkazywał.

Natychmiast kazał bronę spuścić, wrota zamknąć, strażę postawić, nikogo nie wpuszczać... Przy sobie z lochów powiazaną załogę, dał po jednemu wyprowadzać... razem z Drzazgą wybierając z niej ludzi, którychby użyć można...

Zajęty był właśnie tem przebieganiem ludzi, którzy ze strachu do nóg mu padając sami się w służbę prosili, gdy okutego już Krystyna, otrzeźwionego strachem i wodą wywiedziono w podwórze...

Stary opój, chciał gwałtem się wyrывая ku księciu się zbliżyć, o miłosierdzie go prosząc, lecz na znak dany, pacholkomie mu głębatę zatknęli i pehając gwałtownie, a bijąc do poblizkiej ciemnicy wrzucili, z której tylko wprędee stłumiony krzyk się dał słyszeć...

Czas jakiś Biały jeszcze sam po podwórcach się kręcił, chcąc koniecznie czynnym okazać, poszedł na blanki, wlaź nad wrota, opatrywał bronę, okrażył mury, wlaź do pustych komór, kazał sobie otwierać izby i szopy, sam przez się wszystko sprawdzając, aż w ostatku znużony,

Drzazdze dał ręką znak, aby resztę za niego dopełnił i na zamek do izb starościńskich prowadzić się kazał...

Tu Buśko, gorliwy zawsze o własną i pańską wygodę, już go był poprzedził. Znali trochę Złotoryę z pierwszego jej zdobycia, lecz teraz lubiący wezasy Krystyn i żona jego, lepiej ją na przyjęcie nowego pana przygotowali.

Buśko znalazł sługi Krystyna, spiżarnię, zapasy i już w nich gospodarował. Ze strachu spełniano rozkazy...

Sam on, prawem zdobywcy, splądrował zakątki wszystkie, powyciągał z nich co tylko wartość jaką miało, zagrabił jako łup—a babom jadło i napitek gotować kazał.

Znalazł więc księżę, wszedłszy do wielkiej izby, co potrzeba było na przyjęcie i Buśka marszałkującego bardzo poważnie i stanowczo...

Wielki wysiłek na jaki się zdobył księżę, znużył go mocno, byłby swym zwyczajem rzucił się na posłanie spoczywać, gdyby mu Fryda i jej rozkazy na myśl nie przyszły...

Siadł więc do stołu.

Buśko chciał go zabawić pociesznem opowiadaniem o wielkiej trwodze żony Krystyna, i o nim — lecz księżę słuchać go niechciał...

Potrzebował być czynnym...

Podano jadło — kazał wołać Drzazgi, który natychmiast się stawił. Znał on księcia dość do-

brodusznym i powolnym, zdumiał się słysząc go odzywającego się głosem zmienionym i nakazującym...

— Na czas powierzę wam Złotoryę — ale mi głową za nią odpowiecie.

Drzazga spojrział nań tylko.

-- Tak — mówił z zapalem książę. — Nauczyło mnie — doświadczenie, że surowym być potrzeba... Będę okrutnym — będę nielitościwym — i wy powinniście nim być także...

Na krótki czas zmuszony będę się oddalić... bo na jednej Złotoryi nie poprzestane, Ulryk tam czeka na mnie. Jadę natychmiast... Wy zostajecie tu... Powierzam wam tego łotra Krystyna... Z ciemnicy mu nie dać wyjrzeć! Chlób i woda!! I za niego mi odpowiadacie...

Pilno słuchał Drzazga, lecz książę nagle spart się na rękę, oczy utopił w podłogę, zamilkł... Zabrakło mu już dalszych rozkazów...

Począł wołać o konie, dziesiętek ludzi miał tylko zabrać z sobą...

Buśko na ten raz pozostawał na straży przy Drzazdze...

Pilno było księciu pochwalić się swem powodzeniem przed Frydą, a oprócz tego przyrzeczone miał, gdyby Złotorya wzięta została, posiłki od Ulryka, Arnolda i Dobrogosta, którzy się razem z nim ofiarowali inne gródki iść zdobywać.

Fryda ręczyła za braci, a przez ojca Bodecę, którym władała, pewną była iż ich zmusi do dania posiłków narzeczonemu...

Z równym prawie zapalem, z jakim biegł do otwartych bram Złotoryi, poleciał teraz książę do Drzdenka, wiedząc, że tam niecierpliwie nań lub na wieść od niego czekają.

W istocie Fryda, która go na tę wyprawę uzbroiła w oręż, w ludzi i w męstwo — nie mogła na chwilę spocząć wyglądając niespokojna końca sprawy, którą sama przygotowała...

Była pewną iż Krystyn się da upoić, że rybacy dotrzymają danego słowa — lecz lękała się czegoś niespodzianego a najwięcej lekkomyślności i zmienności Białego...

Najmniejsza przeszkoda mogła go tak łatwo zrazić, jak się dał na krok ten namówić...

Wyglądając ciągle posła, Fryda wyszła na wyżki nad bramą, z kąd daleką okolicę widać było.

Zabiło jej serce, gdy zobaczyła kupkę jeźdźców pędzącą wprost ku zamkowi.

Nie ulegało wątpliwości, że wieźli jej upragnioną wiadomość — poznała zdale samego księcia i przeraziła się w początku. Zdało się jej, z pośpiechu wróżąc, że mógł uciekać... Zagryzła usta i oddech wstrzymała, jeźdźcy zbliżali się szybko...

Wtem książę spostrzegł ją, a raczej po białej

zasłonie na głowie domyślił się, że to ona była, podniósł rękę do góry dając znak... którego jeszcze nie zrozumiała...

Pochyliła się ku bramie, gdy nadjeżdżający głosem wielkim zawołał.

— Złotorya nasza!

Fryda zbiegła na jego spotkanie, a tuż i Ulryk i Dobrogost, oczekujący także, nadciągnęli...

Powtarzał im coraz głośniejsze.

— Złotorya nasza!

Fryda rzuciła się ku niemu z okrzykiem radośnym.

Księżę z wielką dumą i pewnością siebie — uśmiechnął się.

— Widzicie—zawołał—że nie jeden raz tylko umiem zamki zdobywać... Złotorya moja, Krystyn wzięty w niewolę, a pan szwagier będzie musiał za niego dobry okup zapłacić, jeżeli mu życie ocalić zechce...

Teraz Ulryk ze swemi sasami musi mi pomóc do dalszych zdobyczy.

Fryda zwróciła się żywo ku bratu.

— Gotów jest, idzie z wami.

Ulryk stał, choć może nie zbyt chętny, lecz zrezygnowany spełnić wolę siostry. Uśmiechało mu się też po spoczynku, spróbowanie czynne rycerskiego rzemiosła...

— Dokądże myślicie? — zapytał.

— Nim pójdziemy na Gniewków — począł

Biały żywo bardzo i z zapalem wielkim, który Frydę wielce uradował—bo ja Gniewkowa jestem pewny, jakbym go już wziął, wszystkich tam po sobie mając... Wiesz bracie — myślę się tam rzucić, gdzie mnie się wcale nie spodziewają, na biskupi zamek Raciąż... Księżę gród w żołnierza nie bardzo musi być opatrzone, a skrzynie w nim pełne... Pożywiemy się na dalszą wyprawę...

Ze śmiechem popatrzał na Frydę, wywołując od niej pochwałę, której mu nie poskapiła.

Ulryk potrząsnął nieco głową.

— Raciąż nie tak jest łatwy do wzięcia jak wy myślicie — rzekł — mury ma dobre, zamek okolicy panuje, podejść go trudno...

Księżę, który w zapale nigdy się nie rachował z niczem, oburzył się i ręką zamachnął.

— Moi ludzie i wasze sasy, rady mu dadzą!!

Ulryk się uśmiechnął, ruszając ramionami.

— A no! chętnie!—rzekł—na Raciąż... jam gotów...

Natychmiast zbierać sasów posłano, a Fryda dumna swym narzeczonym i jego mężstwem, razem się zajęła przyjmowaniem go, żywieniem, dopytywaniem o Złotoryę i wyprawę brata.

Biały powtarzał nalegając, że musi na Raciąż pospieszać.

Czuł, że na długie wytrwanie przy jednej myśli nigdy rachować nie może i spieszył z wyko-

naniem, aby jej nie porzucił... Znał tę swą słabość, iż lada co mogło go zbić z drogi; a na Raciążski skarbiec rachował wiele, ktoś mu o nim splótl przesadzoną baśnię.

Fryda, która przez czas pobytu jego w Drzdenku nadto go dobrze poznała, sprzeciwiać mu się i osłabiać jego męztwa nie myślała.

Ona też, zarówno z bratem Ulrykiem, wątpiła może, by zamek w Raciążu do zdobycia był łatwym—ale gdyby mu to odradziła, czuła że całą sztuczną energją jego zachwiać mogła.

Powodzenie go uzuchwalało, napaść niespodziana udać się mogła, a najmniejsze przeciwięstwo go zniechęcało.

Natychmiast rozesłano gońców po gromadkę sasów, których miał Ulryk dostarczyć. Nie wielu ich było, lecz wszyscy doskonale zbrojni, a każdy z nich stał za kilku takich włóczęgów, jakiemi Białą księżę się posługiwał...

Sam zresztą Ulryk był wielkiego serca, lubił przygody rycerskie, porywy śmiałe, a im niebezpieczniejsze były i dziwaczniejsze, tem więcej go nęciły. Zamek w którymby mógł być walczyć z olbrzymami i wojować smoki, był mu najmilejszym...

Dla niego ta awanturnicza wycieczka pod Raciąż była zabawką doskonałą, z której sobie obiecywał uciechy wiele, choćby nawet skutku pożądanego nie odniosła.

Księżę karmiony i pojony przez Frydę, która go jeszcze zagrzać się starała, i ducha w nim obudzić — śmiał się a puszczał cugle marzeniom, jak zwykle coraz zuchwalszym.

— Z Raciąża — wołał — dobrze się tam pożywiwszy, idziemy na Gniewków mój, na Włocławek... może potem na inne gródki i włości sąsiednie... Zobaczycie, byłem ich kilka opanował, a tego pewny już jestem — obudzi się szlachta wielkopolska — posypią mi się ochotnicy. Zmieni się położenie moje natychmiast, Sędziwoja powoli opuszczą wszyscy przechodząc do mnie.

O! teraz my się inaczej będziemy trzymali i lada obietnicami nie damy uludzić! Król Ludwik musi się ułożyć ze mną, bo mu koronę na głowie jego zachwieję...

Fryda śmiejąc się, potakiwała.

— Gdy was tak mówiącego słyszę — szeptała pochylając się ku niemu — serce mi rośnie, wytrwajcie tylko — wytrwajcie!

Tem upomnieniem, które było zarazem wymówką, Białą się uczuł dotkniętym i żywo począł się bronić.

— Przecież powinnaś, jasno czytając w mej duszy, wiedzieć że nie ma na świecie upartszego nademnie człowieka. Po latach tylu powróciłem do mojego Gniewkowa, gdy każdy inny zapominałby go i wyrzekł się. Odebrali mi go pod-

stępem, wyludzili obietnicami fałszywemi — idę powtórnie... nie jestemże wytrwały? żelazny?

Wśród tej rozmowy Ulryk wszedł do izby cały we zbroi świecącej, od stóp do głowy nia okuty, z szyszakiem wspianiałym w rękę, i nogą nogę uderzywszy, aż ostrogi długie zabrzęczały, zawołał rażno.

— No! Sasi moi nadciągają — ślicie po waszych ludzi, aby się stawili na miejscu, w którym połączyć się mamy. Na Raciąż? Wiem że tamtejsze mnichy doskonały miód dla biskupa płockiego sycą. Napijemy się go...

Fryda nie myślała ich wstrzymywać. Aż do wsiadzenia na koń towarzyszyła księciu, opinając na nim zbroję, podając rękawice, wesolą twarzą otuchę wlewając w niego.

— Gdy Gniewków zdobędziecie — rzekła cicho — gotowam tam was odwiedzić?

Biały rozśmiał się wesolo, konie prychały wróżbą dobrą, Ulryk do swych sasów przemawiał, Fryda powiewała chustą białą — ruszyli więc bardzo żwawo i ochoczo...

Przez całą drogę księciu się prawie usta nie zamykały. Bawił Ulryka opowiadaniem o tem co ma czynić, a choć ten nie bardzo ufał w ziszczanie świetnych nadziei przyszłego szwagra, bawiły go one.

Razem z tem żadnej potrzebnej ostrożności przy najściu na Raciąż nie zachował książę.

Niecierpliwy nie usłuchał rady Ulryka, aby w lesie spocząć do nocy, a później niepostrzeżonym podkraść się pod mury.

W biały więc dzień, gdy się orszak złożony z sasów i zbieranej drużyny księcia ukazał na równinie otaczającej gródek, postrzeżono ich zawczasu i na gwałt uderzono.

Ludzie biskupi lub przestrzeżeni byli, albo się mieli na baczności, bo nim podstępiono pod mury, ludu się na nich zebrało siła — i wrota były zamknięte...

Tu się okazała wielka nieporadność bohatera, który nie wiedział co poczynąć i odgrazając się a krzycząc tylko, wołał aby mu natychmiast zamek poddawano.

Ulryk tymczasem okrążył go dokoła. Tuż do zamku przypierał kościół z dzwonnica, do której biskup Zbylut przybudował był ogromną izbę sklepioną, dla przyjmowania duchowieństwa, które się do niego zjeżdżało... Dzwonnica wprawdzie grubemi szarpami podparta stała za mur okólny, lecz były w niej nieopatrznie zostawione okna bez krat i żelaznych okiennic, o których zdaje się zapomniano. Na skinienie Ulryka, któremu to dobywanie stało za najmilszą zabawkę, sasi się zgromadzili około niego, ludzi księcia i jego samego zostawując u wrót, nawołujących nadaremnie dowódców i ucierających się próżno słowami.

Sasi na skinienie Ulryka rzucili się natychmiast z drabinami do okien dzwonnicy, których nikt nie bronił. W mgnieniu oka kilkunastu ich wdrapało się do jej wnętrza, drzwi wyłamali i znaleźli się w rodzaju pustego sklepionego kapitułarza, z którego łatwo już na zamek dostać się było. Ulryk sam wytrzymać nie mógł, i z konia zsiadłszy poszedł z resztą swych ludzi. Sasi wtargnęli już wszyscy do pustej izby tej i zabierali się żelazne drzwi dzielące ją od zamku wylamywać, gdy załoga się opatrzyła jakie jej zagrożało niebezpieczeństwo.

Bratanek biskupi niejaki Jarosz był naówczas starszym na zamku, chłop dzielny i nieulekniony a przytomny. Gdy z tej strony krzyki się słyszeć dały, a on właśnie u wrót stał, porzuciwszy tu Białego i jego gromadkę nieswornie biegającą około mostu, aby się dostać ku bramie — huknął na swoich i sam na ich czele popędził ku kapitułarzowi i dzwonnicy...

Sasi, którzy przed chwilą byli napastującymi, znaleźli się obleżonemi. U okien i drzwi rozpoczęła się bitwa zacięta, chłop z chłopem... Poleciały okna świeżo wprawione z blon w olów oprawnych, rozrąbano drzwi, zmięszwały się dwie kupki, okładając razami mieczów, cepów i toporów, tak że za chrzęstem broni i dźwięczeniem zbroi żelaznych, a krzykami walczących, nie było słychać rozkazów dowódcy, ani kto wiedział co

miał czynić. Załoga naciskała, sasi zajadłe się bronili i na przemiany to jeden zastęp, to drugi brał górę. Sam Ulryk trafiwszy na dobrze uzbrojonego Jarosza serdecznie się poczał z nim ucierać, znajdując w tem rycerską uciechę, że mu się bratanek biskupi dzielnie bronił. Ludzi z obu stron nie było wielu, lecz tak dobrze kopa wojujących, jak tysiąc rozstrzyga o losie bitwy. Sasi mieli wyższość uzbrojenia, Raciążcy walczyli na swych śmieciach i to im większą pewnością dawało.

Gdyby był Biały zamiast stać u wrót, łajac i krzycząc podstąpił pod dzwonicę i swoich ludzi w pomoc sasom podesłał, mógł się by był Ulryk utrzymać w kapitułarzu, wtargnąć na zamek i zdobyć go...

Tymczasem sasi pozostawszy sami i widząc że im posiłek nie przychodzi, gdy jeszcze śmiały dzwonnik wpadł na wieżę i wielki dzwon poruszwszy całą ludność okoliczną zwoływać poczał na obronę — Ulryk musiał myśleć o odwrocie. Odcinając się załodze mężnie, wraz ze swemi wpadł nazad do dzwonnicy, tu drzwi zatrzasknięto i zaparto kłodami, aby sasi mieli czas nazad się po drabinach wydobyć z zamku... Ulryk, chociaż we zbroi skoczył wprost z okna śmiejąc się, tak zręcznie iż mu się nie nie stało, a gdy pod murem poczał liczyć sasów, okazało się że mu

tylko jednego z nich brakło, który dopiero później nagonił uchodzących.

Po tej przygodzie, która go w wesoly humor wprowadziła, Ulryk pospieszył Białego szukać...

On i jego ludzie stali jeszcze zabawiając się u wrót, rzucając na nie kamieniami i kłótniami, a dziwując się że im nikt na to nie odpowiadał.

Przypadł Ulryk do Białego.

— Do kata! — krzyknął — wyście winni żeśmy zamku nie opanowali! Byliśmy już niemal w dziedzińcu... czemuście na pomoc nam nie szli...

Księżę o bożym nie wiedział świecie — ruszył się dopiero, Ulryka z sobą ciągnąc nazad pod dzwonnice — ale zapóźno było. W oknach jej stała załoga z kuszami, z kamieniami, ze smolą, tak swoim zwycięstwem rozgrzana, tak pełna zapału, że się już nie można było pokusić o zdobywanie wieży po raz drugi...

Biały z konia zachęcał swych ciurów, lecz ci nie okazywali nadzwyczajnej ochoty na rażenia się ani na strzały, ani na inne pociski oblężonych...

Nałajano się tylko z obu stron słowy najplu-gawszemi, i Ulryk pierwszy, widząc że tu już niema nic do czynienia, odstąpił na pobliską łąkę, aby dać sasom swoim odpocząć.

On też tego potrzebował, bo choć go miecz Jarosza nie tknął, zbroję mu w kilku miejscach powbijał niemal w ciało. Potrzeba ją było zdjąć,

i szukać człowieka, któryby młotkiem jako tako mógł odprostować. Szyszak też był potłuczony...

Ulryk mimo to, śmiał się ciągle i radował męztwu a zręczności swych ludzi, chwając się tem że on wyszedł tak jak cały, a Jaroszewi krwi upuścił. W istocie bratanek biskupi zręcznym razem Ulryka raniony był w ramię, gdzie się dwie schodziły blachy...

Na Białego prawie nie patrzył Ulryk, tak gniewnym był, iż mu zwycięstwo wyrwał z rąk.

Gdy nadciągnął księżę — wesoly szwagier zaczął żartować z niego... Ten miał dość żal nawzajem, iż nie dał mu znać aby przybywał.

Byliby się posprzeczały może, jak sasi z ludźmi książęcymi — gdyby Ulryk nie miał dobrego serca i wyrozumiałości dla Białego...

Ten chciał szturm przypuszczać do Raciążka, o którym ani pomyśleć z małą liczbą ludzi nie było podobna.

— Wiesz co? — odparł. — Księżemu zamkowi dajmy pokój! Kościelnej własności siła może jaka nieznana i niewidoczna broni — powiadacie że Gniewkowa jesteście pewni, jedźmy tam się pobawić...

Rad nie rad, Biały, któremu markotno było opuszczać Raciążek, przynajmniej okupu z niego nie wzięwszy — zgodził się iść do Gniewkowa...

On i Ulryk nawzajem sobie niepowodzenie to przypisywali; chociaż winą była Białego, który

inaczej jak zdradą lub groźbami nie umiał zdobywać nie...

Po omyłce popełnionej tu, potrzebował powodem łatwym ją powetować — Gniewków najlepszym był teraz, bo tu mnogich mając przyjaciół, książę się go samym widokiem swym wziąć spodziewał...

IV.

Starostą na zamku w Gniewkowie był Gerard ze Słomowa...

Niedarmo go tam posadzono, bo Sędziwój z Szubina obawiał się zawsze niespokojnego umysłu księcia i pokuszenia się o gród ten, w którym miał sobie oddanych ludzi, a Gerard należał do najdzielniejszych i najczujniejszych dowódców.

Inny byłby się uląkł takiego zadania, otoczonym będąc niechętnymi, i w dodatku nie mając zamku tak obronnego, aby w nim być bardzo bezpiecznym.

Gerard tak prawie jak Ulryk bawił się tem, gdy mu wojować się, bronić, czuwać, zabiegać było potrzeba.

Miała to do siebie sprawa rycerska, że roznamiętniała ludzi, którzy w niej szukali tych żywych wzruszeń, jakich do życia potrzebowali.

Tacy rycerze ochotnicy, gdy w domu nie było co robić, ciągnęli w niedostatku krucjaty, do Krzyżaków i z niemi na Litwę jak na łowy...

Nawyknienie do bojów, do pochodów, do dzielnych zapasów, gonitw, do wymyślania wojennych podstępów — czyniło je potrzebą...

Dla Ulryka z Drzdenka, dla Gerarda ze Słomowa, dostać się jednemu na niebezpieczną a szaloną wycieczkę, drugiemu do zamku lichego, zagrożonego, który się tylko mógł dzielnością i nadzwyczajnym wysiłkiem obronić — było najpożądalszą rzeczą... Wyzwać się na rękę, okazać męstwo i zręczność — stawało się zadaniem życia, tęskniono za tem.

Gerard ze Słomowa nie młody już, bo miał dwu synów dorosłych, był takim łakomym na ciężkie zadania. Sam on się wprosił do zagrożonego Gniewkowa, zabierając z sobą do niego obu synów, i namówiwszy brata Bartosa...

Obejrzawszy zamek nowy starosta — spostrzegł dopiero że w istocie na baczności się w nim mieć było potrzeba. Nie uszło to oka jego, że miasteczko, podzamecze, okolica duszą całą była oddana księciu Władysławowi. Otoczony był jawnemi nieprzyjaciołami, którzy milczeli ponuro, a nie jeden z nich podechmieliwszy odgrażał się po cichu. Płatanu mu sztuki różne podstępnie, winowajcy poszlakować nie było podobna.

Na takie usposobienie wielką tylko surowo-

ścią można było zaradzić. Gerarda obawiać się musiano, znano go ze sławy jaką miał że nikomu nie przypuszczał. Trudniej było na prędce zamek ubezpieczyć...

Brakło mu murów okólnych w części znaczniejszej, zastępowały je starodawne ściany z drzewa, obyczajem odwiecznym grubo tylko gliną pooblepiane... Gdzieniegdzie przekopy się pozasypywały a i w pośrodku nie stawało wiele rzeczy do odpierania silnego napadu.

Gerard objawszy zamek, obszedłszy je w milczeniu, natychmiast wziął się do tego co najpilniejsze było. Ludzi z miasteczka kazał spędzić do przekopów... i swoich nad niemi dziesiętników postawił. Zaczęto oprować ściany i lepić je, zatykać w nich wyłomy, umacniać bramę i przystęp do niej czynić trudniejszym...

Z miasta też nakazano wozić kamień, gruzy wszystko co do obrony służyć mogło. Przyjaciele Gniewkowsy księcia byli zmuszeni przeciwko niemu dostarczać broni. Nie było rady, czyniono to niechętnie lecz — musiano.

W bardzo prędkim czasie zamek wyglądał lepiej daleko niż kiedykolwiek był za księcia — ale mrużąc i utrapieni podwodami a służbą zamkową mieszczanie odgrażali się szydząc, że mimo to wszystko — byle ich pan przyszedł — nie utrzyma się Gniewków ze swą załogą.

Złemi oczyma spoglądano, gdy Gerard z innych zamków począł sprowadzać do Gniewkowa przybory wszelkie których tu brakło...

Jakiemi siłami naówczas napadano i broniono się—można mieć z tego wyobrażenie, iż nie licząc czeladzi, pacholców i gawiedzi licho zbrojnej, która nie na wiele się przydać mogła, Gniewków miał dwudziestu dwu dobrze zbrojnych ludzi — a doliczając do nich dowódcę, jego brata i dwu synów, było ich razem dwudziestu sześciu. Z tą siłą mieli pewność, iż—nie zajdzieli zdrada jaka, obronić się potrafią.

Wprawdzie sasi Ulrykowi i kupa licho zbrojna Białego znacznie była liczniejszą, lecz nigdy tylu do obrony nie potrzeba co do napaści. Gerard ze Słomowa nie spodziewał się w najgorszym razie ażeby ksiązę mógł zebrać wielkie wojsko.

Wiadomo było z czego się ono składało, a pomocy Ulryka się nie domyślano—choć wiadano że ksiązę oddawna w Drzdenku bawił.

Nim nadciągnęli sasi—Gerard miał już pewne posłuchy, że się coś nań zbierać może. Zwołał starszyznę miejską i po żołniersku się z nią obeszeli—zapowiadając że, uchowaj Boże, najmniejszego zdrady poszlaku, wieszać każe i ścinać — bez sądu.

Gniewkowskich mieszczan więcej to podrażniło niż nastraszyło. Wiedzieli już że ksiązę nadciągał, umyślili siedzieć cicho do jego przybycia,

lecz jednomyślnie postanowiono pomagać mu gdy się tylko ukaże.

Biały rachował też na to... Wyprzedził on sasów, i choć nie wielką miał gromadkę z sobą, wszedł z nią do miasteczka...

Czekano nań... ruszyło się co żyło naprzeciw, i co tylko drąg okuty, palkę, topor dźwignąć mogło, ogromną kupą stanęło przy nim, okrzykując go...

Godzina była ranna—dzień skwarny, Gerard, choć czujnym był, niespodziewał się napaści w tej porze. Natychmiast bramy zawarto, ludzi porostawiano, wrzawa od miasteczka, łatwo się było domyślać, co zwiastowała...

Obyczajem swym Biały ruszył naprzód prowadząc za sobą owo pospolite ruszenie wprost do wrot, wywołując na rozmowę.

Gerard wysłał mu tysiącznika prostego...

Od księcia nakazywano poddać się pod karą główną... i otwierać bramy. Tysiącznik odpowiedział z rozkazu tak nieprzyzwoitym ruchem, iż dalsze z nim układy stały się niepodobieństwem...

Nadciągnęli tymczasem sasi z Ulrykiem, który nie bawiąc się w żadne gawędy, zaraz zamek objeżdżać zaczął i opatrywać, z kądy był najprzystępniejszy... Z miasteczka drabin, kozłów, rusztowania wszelkiego dostarczono obficie...

Chociaż książę jeszcze się spodziewał że dowódca zda mu gródek, widząc że całe miasteczko z nim było, Ulryk nie zwłóczęc wziął się do szturm.

Sasi już przystawiali drabiny i mieli się drapać na ściany, gdy starszyzna miejska przybiegłszy do księcia, poczęła wołać iż niepotrzeba było darmo ludzi narażać... Ofiarowali się natychmiast ściągnąć tyle chrustu i drzewa, aby dokoła zamku otoczywszy podpalić go...

Stary, złamany, o kiju ledwie się wlokący sługa jeszcze dziadowski książęcia, podał tę myśl pierwszy, zaręczając że glina ze ścian odleci, a drzewo się zajmie, i załogę zmusi do poddania się.

Białemu żal było trochę zamku, zawahał się — wołał go posiąść innym sposobem, Ulryk zaś podpalenie pochwalał i namawiał na nie.

— Niema tu czego żałować — wołał. — Zamek się odbuduje, a ludzi nadto nie mamy i widzi mi się że nie łatwo ich ściągniemy, bo — uderzył śmiejąc się po przywieszonej do pasa tobołce, w której mało co pobrękiwało... i niedokończył.

Książę, wahając się jeszcze — kazał jednemu ze swoich zagrozić obłączonym, że im ogień podłożą — ale groźba ta nie poskutkowała.

Tymczasem mieszczanie gniewkowscy, nie pytając już, poczęli drzewo, chrust, susz i co tylko palnego mieli pod wyschłe od skwarów ściany przyciągać i gromadzić...

Szło to z nadzwyczajnym pośpiechem, a stary, który doradził ten sposób okrutny — przestrzegł też aby nie podpalano póty, dopóki by jak największa ilość drzewa nie była do koła zwieziona. Ludzie miejscowi wiedzieli dobrze gdzie ściany były najsłabsze, spróchniałe, stare, i tam właśnie stosy największe podkładali.

Chociaż szło to bardzo żywo, z ochotą wielką, jednakże nim dokoła obwodu narzucono suszy dosyć — wieczór nadszedł.

Sasy i ciury książęce obozowali odpoczywając do koła, książę i Ulryk w domu sołtysa znaleźli wygodną gospodę. Mrok już padał, gdy dano znać że podpalać czas, aby wojsko było w pogotowiu...

Z uporu Gerarda, którego dobrze znał Ulryk, wnosił że gotów rozpaczliwą uczynić na nich wycieczkę...

Biały, gdy przyszła chwila stanowcza stał się pónurym i milczącym. Ogień podkładać pod własne gniazdo swoje, zdawało mu się świętokradztwem, lecz, uległ namowom, lękając się szyderstw Ulryka...

Wieczór był pogodny i cichy... głucho milczenie na zamku panowało — gawiedź miejska, jak każda jej podobna, radująca się szkodzie i złemu — zaczęła biedz niosąc pozapalane głównie i drzazgi smolne... Dokoła migwały te rozsypane ogniki, a wkrótce gęste kłęby dymu poczęły się

podnosić u ścian, i długo wily się okrywając je, nim błysnęły jasne płomienie i lizać zaczęły czerwonymi języki osmolone grodu ściany.

Widok był straszny nawet dla tych, co ze śmiechem złym biegli nań patrzeć... Pożar w początkach częściowy, zaczynał się zlewać w jeden wielki wał płomieni i dymu. Stosy drzewa objęte ogniem, coraz wyżej rzucały iskrami i pasami ognia, który wzbijał się po nad ściany i żarł już przyparte do nich z drugiej strony chodniki, rusztowania, budy i wieże...

Miejscami, jak przepowiadał stary, osypywała się przepalona glina, stare drzewo spruchniałe zaczynało się żarzyć krwawo... Cały zamek, którego budowli rozeznąć już nie było można, stał jako jeden stos ogromny objęty rzeką płomieni. Nie ulegało wątpliwości iż nie tylko zewnętrzne ściany padną ofiarą, ale i wszystek gród spłonie, a mężni jego obrońcy zginą w tym ogniu.

Białemu ścisnęło się serce i gniewem wielkim poruszył się przeciwko Gerardowi, który gniazdo jego rodzinne na to zgłiszczcze zamieniał...

Ulryk znajdował środek wyśmienitym, przyklaskiwał i stanął tylko z sasami naprzeciwko wrót, aby, jeżeliby załoga ratować się chciała, nie wypuścić jej wolno...

W początkach, co było ludzi wewnątrz zamku, leli wodę starając się gasić stos zażegnity, lecz

usiłowanie to było próżne. Przytłumiony nieco z jednej strony pożar, wzmagął się gdzieindziej...

Czas jakiś trwał ogień, a z zamku znaku życia nie dawano... Niecierpliwł się książę, Ulryk dziwił, sasi podbiegali pod wrota, które płomienie obejmowały.

Na ostatek krzyk i trąbienie dało się słyszeć z nad brony, i Biały poskoczył ku temu miejscu, z kąd one wychodziły. Z za dymu ukazała się postać starego Gerarda, który zieloną gałąź trzymał w ręku...

Dla trzasku palących się bierwion i szumu płomieni nie można było usłyszeć co mówiono. Biały, któremu szło o ocalenie gniazda, rozkazał mieszczanom gasić ogień.

Dał znak aby wrota otwarto... ażeby ludzie w niewolę się poddali.

Stary dowódzca gdyby był sam nie uległby pewnie do ostatka i dalby się być zżędz z zamkiem razem, lecz synowie na klęczkach go błagali aby życie swe ocalił, a brat niemal zmusił do wywieszenia zielonej gałęzi.

W chwili gdy już zdobycia był pewien, chmurny i gniewny książę całe swe zuchwalstwo i pewność siebie odzyskał... U wrót postawiono w dwa szeregi sasów i ciurów...

Podniosła się brona, odwalily płonące wrota i stary Gerard w całej zbroi wystąpił wiedziony przez dwóch synów...

Za nim szedł brat, a tuż dwudziestu i dwu zbrojnych... czeladź i pacholki...

Gerard wziął zrazu stojącego na koniu Ulryka za księcia i ku niemu się zbliżył, gdy ten mu na Białego wskazał.

Nawzajem, dla ujęcia przyszłego szwagra — odesłał księżę do niego, a sam na kilka kroków odskoczył, wołając aby ogień gaszono.

Ulryk po rycersku chciał się obejść z jeńcami i byłby ich, przez cześć dla mężstwa uwolnił, gdyby Biały nie podesłał doń z żądaniem, aby wszyscy uwięzieni zostali dla okupu...

Mieszczanie, którym teraz równie o ocalenie dla ich księcia gródka ojczywego chodziło, jak wprzód szło o podpalenie dla zdobycia — rzucili się gasić i rozrywać ogień... lać wodę, zarzucać go ziemią.

Po zgłiszczach płonących jeszcze, z głową spuszczoną wjechał Biały na gród swój, na którego dachach gdzieś gonty i draniece gaszono... Smutny to był widok. Gerard do ostatka nie rozpaczając w pośrodek przestronnych podwórzy zgromadził był konie, rynsztunek, zapasy, wszystko co wartość jaką miało... Kupami leżały tu sprzęt, broń, odzież, skrzynie, wory... a w pośród nich przerażone ogniem rwały się rozhukane konie...

We dworcu pootwierane okna i drzwi, po-

odrywane okiennice jakby po rabunku i spustoszeniu — ogołoconym go czyniły i smutnym...

Księżę stanął i ze zgrozy jakiejś a smutku wpadł w niezmierny i niepohamowany gniew, którego nie miał na kim wyrzucić — padłby by, ofiarą jego Gerard, gdyby nie ta myśl, iż za niego okup znaczny uzyskać może... a zyskanie grosza, było dlań pierwszą potrzebą...

Spiesznie tłumiono ogień i ku północy dymyły tylko pozalewane węgle, a w środku zamku sasi i ciury wesoło obchodzili zwycięstwo, do którego mało się przyczynili.

Biały siedział podparty za stołem, który dlań przyniesiono, i razem z Ulrykiem dopijał wydobytego kędyś ze schówki tajemnej miodu...

Misa strawy, którą przyniesiono z miasteczka stała pomiędzy nimi. Milczeli oba.

Ulryk, dla którego pono ciekawą zagadką był ten człowiek, któremu pomagał uproszony przez siostrę; badał twarz księcia mieniącą się najrozmaitszymi wrażeniami myśli, które po nim przechodziły...

Można było w istocie śledzić te fale zwątpienia i zapалу, dumy i obawy, które uderzały w piersi księcia i wily się po głowie jego...

— No—cóż dalej? — zapytał wesoło z obojętnością prawdziwie rycerską Ulryk — co dalej zamysłacie?

Biały zaciął usta — dumał — spojrzał — Ulryk

na myśl mu przywiódł siostrę swą Frydę, a ona była najsilniejszym bodźcem do czynu...

— Co dalej? — powtórzył książę — to samo z siebie się rozumie... Wprawdzie nie powiodło się nam w Raciążu, lecz powetowaliśmy to na Gniewkowie, mamy dwa zamki. Na tem poprzestać nie myślę...

Spojrzał w oczy Ulrykowi.

— Chcę się nieco obwarować tu, aby mi lada kto Gniewkowa nie odebrał, którego zresztą mieszczenie strzedz i bronić mi pomoga, trzeba wzmoć Złotoryę, a potem...

— A potem? — spytał ciekawie Ulryk.

— Potem — pójdę na Szarlej, a może na Inowrocław... — odparł Biały z dumą i pewnością siebie...

— Nim to nastąpi — odezwał się Ulryk — ja z moimi sasami muszę do Drzdenka... Spocząć trochę im dać trzeba i koniom — a, kto wie, może się przyjdzie bronić w domu, bo mnie gotowi karać za to, że wam pomagał...

— Nie będą śmieli — żywo poczał Biały — który sam się potrzebował ludzi... Widzicie sami że mi ludu co chwila przyrasta... Jak tylko pójdzie wieść że Gniewków wziął, że Krystyn i Gerard w moich rękach, popłoch padnie na nich... Nie będą śmieli...

— Leez, choćby nie dla obrony Drzdenka, a dla spoczynku potrzebuję do domu — dodał

Ulryk wstając. Może też gdy wam napłynie ludzi, a i Gniewkowscy z wami pójda, mnie nie będziecie potrzebowali.

Biały, któremu się zdawało że w istocie obejdzie się bez pomocy Ulryka, o którego był nieco zazdrośnym aby jemu i sasom zwycięstw nie przypisywano — nie rzekł nic.

I tak nad rankiem, obdarzeni sasi, obdarowany z łupu Ulryk, wyciągnął nazad do Drzdenka.

Szczęściem dla Białego, wieść o jego napaści na Złotoryę, o zdobyciu, rozeszła się już była i Lasota we Starej wsi dowiedziawszy się o tem, po krótkiej naradzie z Dersławem, ruszył napowrót do Białego...

Wysłano go może więcej na zwiady niż w pomoc dla niego, ale Lasocie dokuczyła bezczynność, rad był cokolwiek bądź przedsiębrać, byle darmo nie jeść chleba u starego.

Biały rozmyślał właśnie nazajutrz rankiem, kogo przy sobie ręką prawą uczyni, której czuł wielce niedostatek, gdy ujrzał w progu Lasotę.

Powitał go z wielką i może aż nadto wyrazistą radością. Brzemie mu z ramion spadało, miał na kogo je zrzucić.

— Lasota! — zawołał podchodząc — przybyłeś mi w porę. Mam ludzi dość, ale mi dowódców braknie... Bóg ci zapłaci żeś o mnie pamiętał, a ja starać się będę odwdziżyć. Co słychać w Wielkiej Polsce?

— Cicho i pusto — odparł Lasota. — Co było ruchawszego pojechało do Koszyc walczyć z królem Ludwikiem językami, nie mogąc kordem... Póki nie powrócą na Wielkopolskę niema co liczyć — musimy sobie tu na Kujawach sami radę dawać.

Księżę spojrzał nań.

— Jak? — zapytał.

— Prosta rzecz — zawołał Lasota — co tylko jest ludzi, którzy mogą udźwignąć miecz, dosiądź konia, musi iść z nami. Gniewkowscy księciu sprzyjają, niechże idą.

— Muszą iść! pójdą! — odparł ożywiony już książę.

Zadumał się chwilę i postąpił ku Lasocie.

— Daję ci moc — rzekł — co uczynisz, wiem że dobrem będzie, rozkazuj w moim imieniu!!

Lasocie dwa razy tego mówić nie było potrzeba, skłonił się zlekka i zawrócił, oczy mu się zaiskrzyły.

— Jeżeli mi nie będzie psuł co ja pocznę — nawarzym piwa królowi Ludwikowi, które mu nie bardzo będzie smakować...

Biały uspokoił się zupełnie — wiedział że na Lasocie mógł polegać...

Rozpoczął sam na starem swem zamczysku gospodarzyć, rozkładając się, i usiłując je do dawnego przyprowadzić stanu. Jednym z najbar-

dziej dolegliwych braków, który mu się mocno czuć dawał, było — osierocenie po Bušku...

Błazna tego, do którego mógł mówić co mu na myśl przyszło, który mu bez ogródki i strachu odpowiadał i często myśl jego naprostował — nie dostawało... tęsknił za nim...

Jednem też z pierwszych rozporządzeń książęcych było, wysłanie po niego...

Niecierpliwie wyglądał przybycia... Buško, który również był do swojego pana utęskniony, dał się wziąć i — choć nie lubił na koniu klusować, przybył dosyć prędko...

Zobaczywszy go książę, śmiejąc się wyszedł aż do podsieni, poklepał go po głowie i wprowadził z sobą do izb... Do nikogo tak mówić nie umiał szczerze, otwarcie, co ślina do ust niesła, jak do starego swego bazarza i trefnisia...

— Patrz co oni mi z Gniewkowa zrobili! — zawołał — szczęście że nie spalili jeszcze.

Buško obchodził kąty, wachał i znajdował że spaleniznę jeszcze słyhać było...

Oba razem powlekli się po zakomarkach mrucząc, rozglądając się, przypominając jak to tu dawniej bywało.

Zyskał na tem Lasota, któremu zostawiono zupełną swobodę rozporządzania się około woj-ska przysłego... Gniewkowscy mieszczań-e, lud ze wsi i osad okolicznych, przywiązany do dawnych książąt, a obawiający się zemsty Sędzi-

woja, gromadnie się zaciągał pod chorągiew Białego... Zbiegały się też owe włóczęgi i ludzie bez chleba a zajęcia, zasłyszawszy iż się księciu wiodło...

Jednych wypędzano z chat gwałtem, drugich ujmowano obietnicami, inni się garnęli niemając nie lepszego do robienia.

Co wieczór mógł Lasota uwiadomić księcia, iż mu rosły jego siły... Oreż chwytało jaki tylko dał się zdobyć, a często taki, co imienia tego wart nie był. Szło więcej o lik ludzi niż o uzbrojenie...

Zdawało się w istocie szczęście uśmiechać wygnańcowi...

Sędziwój z Szubina nie miał dosyć rycerstwa pod ręką, aby natychmiast przeciwko niemu wystąpić, a zyskany czas wzmagał odwagę i istotne siły księcia...

On sam już się nie chwiał w postanowieniach, był pewien, że cel osiągnie.

Dana mu przez Frydę nauka, którą ona przez posłów jeszcze kilkakroć mu powtórzyła, aby był surowym i nieubłagany, utkwiała w głowie i w sercu księcia.

Powtarzał ją sobie, przejmował się nią — po-przysięgał nie zmięknąć i nie popołgować nikomu, pilno mu było tylko co najrychlej czynem jakim okrutnym, a głośnym przekonać Frydę iż miał w sobie ten przymiot tak zdobywcom potrzebny.

Lasota, który tu wszystkim rozporządzał teraz, musiał go powstrzymywać od porywów nie-bacznych, któreby były ochotników zraziły...

W Gniewkowie, pomimo że się krzątano około naprawy zamku — Biały postrzegł że mu mniej było bezpiecznie niż w Złotoryi. Cekał tylko na przyobiecane posiłki sasów Ulryka, aby z nimi udać się tam gdzie postanowił główną swą umieścić stolicę...

Lecz o Ulryku jakoś słyhać nie było... Pomimo nalegań i próśb siostry, nie chciał on narażać siebie, Drzdenka i przyszości dla człowieka, który coraz mniej obudzał w nim zaufania.

Uległby był może i wielkiej zawsze ochocie do awanturniczych wypraw i temu błaganiu Frydy, za którą ojciec się też wstawiał, gdyby Dobrogost i Arnold bracia jego nie nadbiegli.

Oba oni sprzyjali Białemu, lecz doszły ich wieści o odgrążaniu się Sędziwoja, o zewsząd ściąganych siłach, przeciw niemu i jego pomocnikom. Od progu wchodząc Dobrogost krzyknął zobaczywszy Ulryka...

— Ani się waż krokiem ztąd! Musimy umyć ręce i więcej się do sprawy księcia nie mieszać, inaczej my wszyscy za niego pokutować będziemy.

Fryda stojąca we drzwiach z krzykiem się rzuciła przeciw braciom, ale jej mówić nie dali.

— Słuchaj Frydo—odezwał się Dobrogost — ojca i nas trzech na zgubę narażać nie możesz,

dla twojego mnicha — kochanka! Całą siłą ciągną na niego i zgniotą go, a nas razem z nim...

Przerwał Arnold, opisując przygotowania i donosząc, że z Sieradzia Jaśko Kmita ciągnie w pomoc Sędziwojowi z Szubina, i że Biały, pomimo największych wysiłków utrzymać się nie potrafi.

Fryda zciągnęła brwi, spojrzała na Ulryka, który siedział milezący, na ojca, który się już nie śmiał odzywać.

— Opuszczacie więc go? — zapytała głosem, w którym drgał gniew i męztwo razem.

— Musimy — rzekł Dobrogost zimno.

— Toście podli! — krzyknęła Fryda rzucając wejrzenie groźne...

Na tę obelgę z ust kobiecych, bracia nie odpowiedzieli, Fryda popatrzała znowu na mileżącego ojca, jakby się od niego czegoś spodziewała — postąpiła chwilę i krokiem powolnym cofnęła się z izby...

Po wyjściu jej, Ulryk poruszony, chciał wziąć jej i Białego stronę — zakrzyczano go...

Dobrogost rzekł stanowczo.

— Nie puszcze cię, choćbym się bić miał z tobą, a jużci braterskiej krwi dla tego warchoła, który źle skończy, lać nie warto...

Fryda wypłaczę się i ukoi.

Nadeszła chwila wieczery... ale Fryda się nie ukazała.

Ulryk szedł po nią — nie zastał jej w izbie, w której skrzynie pootwierane, suknie rozrzucone, i nieład znalazł jakby pospiesznego z domu wyboru...

Frydy na zamku nie było...

V.

Od przybycia do Złotoryi Białego księcia, który w Gniewkowie małą zostawiwszy załogę, sam z głównym taborem swym przeniósł się do mocniejszego grodu... niezmierny ruch i czynność tu panowała.

Przypisać je należało nie tyle Białemu, co tajemniczemu jakiemuś wpływowi, który go teraz innym czynił człowiekiem.

Lasota będący prawą ręką jego przypisywał zmianę szczęściu, Buśko słysząc o tem uśmiechał się, a zapytany usta sobie zatulał.

Nikt prawie wśród nieustannego przypływu i odpływu ludzi rycerskich, którzy do Białego przyjeżdżali i wyprawiani byli w różne strony — nie spostrzegł jednego wieczora ze spuszczoną przelbicą, w zbroi lekkiej nadbiegającego rycerza, z dwoma pacholkami, który do księcia samego

żądał być dopuszczonym — wszedł na zamek i — więcej, go już niepostrzeżono... Znikł jak gdyby potajemnie go wypuszczono...

Buśko jeden coś o tem wiedział. Dwie komnaty odległe stały teraz zaparte, tak że do nich nikt oprócz księcia i Buśka wchodzić nie miał prawa...

Biały zamykał się bardzo często, a gdy coś stanowczego potrzebował obmyśleć, siedł tam rozważać — odosabniał się — i po jakimś czasie powracał z energją nową i zawsze z postanowieniem jakiego się po nim nikt nie spodziewał...

Można było powiedzieć, że w tem zamknięciu czerpał natchnienia jakieś i zdobywał się na mężstwo, które go nie opuszczało.

Szeptali niektórzy, że się modlić chyba musi — Buśko ruszał ramionami. On jeden wiedział co się w tych zapartych izbach mieściło i gdzie podział się ów zagadkowy rycerz, który na zamek przybywszy, znikł w nim... nie okazując się więcej.

Szło też Białemu na Złotoryi szczęśliwiej niż kiedy...

Ludzie kupami garnęli się i ściągani byli przez gniewkowskich przyjaciół. Ostre więzienie Krystyna i zamknięcie Gerarda ze Słomowa, których głodem morzono, nie szcędząc ni kajdan, ni cuchnących ciemnic — wygłaszane umyślnie zmusiło Sędziwoja na prośby siostry do wyku-

pienia nieszczęśliwego opoja — ale Sędziwój sam grosza dać nie chciał i nie dał, gniew mając do szwagra; dozwolił tylko powinowatym i przyjaciółom złożyć sześćset kóp groszy, od których Biały wypuścić taniej go nie chciał.

Za Gerarda z bratem i synami, nie mniej nad tysiąc żądał Biały, i pozostał przy swoim pomimo błagania i wstawiania się wielu.

Te tysiąc kilkaset grzywien skarb zupełnie wycieńczony zasiliły. Część ich rozdzielono pomiędzy nowo zaciężnych, część użyto dla ściągania innych, zadatkami i obietnicami ich kusząc...

Zgroszem który się tu ukazał, gorliwość ochotników wzmogła się wielce... Lasota porozdzielał ich na dziesiątki, na seciny, powyznaczał dowódców, i gdy jedna część ich na zamku spoczywała, druga krążyła ciągle około niego, snuła się po gościńcach, wprost po okolicy rozbijała i zabierała co mogła do Złotorii ściągając. Żaden dwór i wieś nie utrzymały się nietknięte przez nich.

Szerzył się strach — wszystkie sąsiednie gródki, na które obawiano się napaści, co prędzej opatrywano i załogami obsadzano. Biały przebąkiwał o najeździe na Służewo, na Szarlej, na Inowrocław, na wszystkie niemal gródki bliższe, w których się spodziewał zdobyć...

Niespieszył jednak z wyruszeniem ze Złotorii, którą naprzód, już z siebie mocną i murami wa-

rowną, jak najpilniej, na długi czas w żywność i środki obrony chciało zaopatrzyć.

Nowy duch jakiś wstąpił w księcia, czuli to wszyscy, nagle te zniechęcenia, zmiany usposobień, z obojętności na które dawniej chorował — ustały. Był dobrej myśli i w drugich wlewał otuchę. Nie mówił już o żadnych układach, nie przewidywał nic złego, gotów się był kusić na najśmielsze kroki, i sam nawet brać w nich udział.

Tajemnicą tego zwrotu w charakterze było — przybycie Frydy, która niemogąc nakłonić braci aby mu pomagali, wiedząc że książę sam wytrwać nie potrafi, bez nieustannego podżegania — poświęciła się dla niego, wykradła się do Złotorii i pozostała w niej, czuwając nad Białym, będąc jego doradczą i nadzorczą. Jej winien on był to męstwo i wytrwałość które okazywał.

Z izdebki w której była zamknięta mężna i czynna kobieta, rządziła nie tylko Złotorją ale kierowała wszystkimi krokami przyszłego męża...

Ukryta, aby nie jej ale jemu przypisywano wszystko, cicho poddawała mu myśli, kazała sobie donosić szczegół najmniejszy i z trafnością zdumiewającą korzystała ze wszystkiego cokolwiek dało się zużytkować.

Córka ojca, który niegdyś rycersko służył, siostra trzech wojaków, wychowana wśród ciągłych zajęć wojennych, obeznania z niemi — lepszym była wodzem niż Biały, który nigdy rycer-

skiego ducha nie miał, a resztę rzeczy rycerskich w klasztorze zapomniał i pozbył ich...

Baczny postrzegacz byłby może zrozumiał z postępowania księcia wnosząc, że ktoś stał po za nim, że mu dyktowano to co czynił i kierowano nim — ale w gorączce jaka tam panowała na zamku, nie tak bardzo na drobne odcienia zważano.

Lasota zaczynał i wierzyć w księcia i więcej mu ufać — inni też patrząc nań mężnieli, tylko gruby Buško gdy o tem mówiono, milczał głupowato.

Fryda była jakby w gorączce nieustającej — przebrana po mężku wyrывała się wieczorami na zamek opatrując wszystko, domagała się ciągłych doniesień, liku ludzi — w jej głowie niespokojnej lagły się ciągle jakieś wymysły nowe.

W czasie gdy Złotorję opanowano, razem z załogą i ludźmi do niej należącemi, schwyciono człowieka, którego Biały nieumiał zużytkować. Był to niejaki Hanko, zamożny właściciel młynów Brzeskich, słynny w owe czasy z umiejętności budowania wszystkiego co wymagało pewnej umiejętności i znanstwa mechaniki.

Młyny wodne od dawna już naówczas były znane i rozpowszechnione w Polsce; od pół wieku wznosiły się już w wielu miejscach i wiatraki. Budowa tych przyrządów prostą była zapewne

i bardzo pierwotną, potrzebowała jednak znajomości rzeczy i wprawy.

Hanko uczył się owego młynarstwa w Niemczech, budował potem w Polsce dla drugich wiatraki i rzeczne młyny, folusze i stępy, naostatek zbogacony swym kunsztem otrzymał pozwolenie i wzniósł dla siebie słynne młyny Brzeskie z których wielkie ciągnął korzyści.

Oprócz tego, gdzie tylko sztuki pewnej potrzeba było — używano Hanka do kierownictwa i porady. Nie jeden raz już dawano mu na wzór tych, których używali krzyżacy, budować machiny wojenne, umiał też i statki po rzekach krążące bardzo misternie i pięknie odrabiać.

Powszechnie też uważano go, szanowano a trochę nauki, jaką miał, kazała się domyślać daleko więcej może niż było. Głos ogólny powiadał, że Hanko potrafił wszystko co zechce, że zna... bardzo wiele. Stary się tego nie wypierał — bo mu z tem dobrze było.

On i zięć jego Frydrusz, któremu naukę swoją Hanko wszczepił, znajdowali się na zamku, gdy go Biały opanował.

Naówczas mnodzy przyjaciele młynarza, korzystając z zamętu wyrobili to, że go na słowo do Brześcia odpuszczono, wraz z zięciem. Rzecz się zdawała skończoną; Biały o nim zapomniał.

Przybycie Frydy, która się gorąco obroną Złotorji zajęła, i chciała aby na rzece statki ku

obronie przygotować, a na zamku wojenne maszyny na wypadek oblężenia, poddało komuś myśl o Hance i imię jego księciu przypomniano. Fryda natychmiast sprowadzić go kazała.

Wyprawiono oddział ludzi, aby go po woli lub niewoli na zamek dostawili. Młynarz, choć nie miał wcale ochoty mieszać się do spraw Białego, aby potem nie odpowiadał za niego — nie mógł się opierać, i z pokorą, niby z dobrej woli pojechał, zięcia z sobą zabierając...

Stary młynarz nienawidził wojny, niepokoju i wszystkich tych którzy byli jej przyczyną — nie cierpiał księcia i burzył się przeciwko niemu, przewidując ile on klęsk na Kujawy z sobą ścignie.

Udał jednak uniżoność, pokorę, najgorliwszą chęć służenia, chociaż wściekał się w duszy.

Nakazano mu wnet z ludźmi się zabierać do roboty a przedewszystkiem do statków, z którymi wyprawy po rzekach przedsiębrać miano. Myśl się zdawała wyborna...

Oddział żołnierzy który prowadził Hanke, miał za dowódcę niejakiego Bylicę, drugi już raz będącego w służbach księcia. Oslawiony to był zbój i warchoł, który z kupką ludzi tak zachwiałych jak on sam, oddawna po nad granicą dokazywał. Na rękę mu było służyć księciu łatwiej się obłowić, i przyjść może do dowództwa.

Bylica miał lat czterdzieści kilka; średniego

wzrostu, krępy, gruby, silny jak żubr, karku twardego; ręki jak topór strasznej — był przytem przebiegłości wielkiej. Polowania na kupców i przejezdnych po gościńcach, wyuczyły go lisich zasadzek, podkradania się, podsłuchów... Podsuwać się umiał pełzną po cichu, a spadać jak piorun... Ludzi swych gdy się bić mieli, podpadał chętnie, ale sam tak jak nie nie pił...

Cheiwy był na grosz, a lasy na białogłowy, a że od dzieciństwa włóczył się z mieczykiem, potrzebował już do życia przyprawy niebezpieczeństwa i walki...

W Brzeskich młynach, zastawszy ludzi, bo zawóz był wielki, Bylica przysłuchiwał się ich rozmowom. Tu mu w ucho wpadło, że z Sieradzia ciągnie w pomoc Sędziwojowi Jaśko Kmita, i że już nawet przodem wyprawił swoje wozy, namioty, ludzi, skrzynie, bo pan był zamożny...

Od niechcenia zaraz wybadał Bylica, kędy mogły się znajdować te tabory Kmity, i jaką one drogą prawdopodobnie iść miały, a kiedy się do Kujaw zbliżą. Lud, skłonny zawsze do opowiadania, szeroko o tem rozprawiając, dał Bylicy skazówki.

Nie pokazywał on tego po sobie, jakby mu one na co przydać się miały, lecz w duchu pomyślał że Hanke zaprowadziwszy do Złotoryi, musi na obóz Kmity uczynić zasadzkę...

Bylica byłby ją niemówiąc nie nikomu sam

przedsięwziął, aby nie mieć świadków i liczby nie zdawać — lecz, swoich ludzi miał za mało, a porwać się na próżno... nie było w jego obyczaju...

Dzielić się, choćby sławą tą, że tabory Starościeńskie pochwylił, nie po myśli mu było.

Jak tylko stanął na zamku, poszedł do Lasoty... Wydać mu o co szło nie chciał — bo ani dowództwa, ani pokierowania zasadzką nie rad był mu ustąpić...

— Potrzeba rzekł przystępując do niego — dobrym oddziałem puścić się na — zwiady. W Brześciu na młynach ludzie powiadali, że się tu gromady przeciw nam zbierają... Rozbićby je a przepłoszyć. U mnie moich trochę za mało, dajcie mi w pomoc ludzi — pojedę, może się co uda chwycić lub rozbić.

Lasota znający sprawność warchoła, zgodził się natychmiast.

Bylica ledwie koniom wytechnawszy, nie czekając drugiego dnia, zaraz z zamku wyciągnął. Miał już w głowie wszystko obrachowane — miejsce w którym zaskoczyć będzie najłatwiej tabór, czas i sposób... Nie zwierając się nikomu, pospieszył...

Wozy Jaśka Kmity, na których dużo nie tylko zbroi, ale srebra było i złota, pieniędzy dla opłaty ludziom, różnych kosztowności własnych starosty, szły pod osłoną małego oddziału, po-

wolnie a tak bezpiecznie jakby żadnego się nie obawiały nieprzyjaciela...

Gościniec którym ciągnęły był znany Bylicy, bo on na nim nie jednego już złupił... W głuchym lesie musiał nad łąką i rzeczulką przypaść nocleg albo popas... Tu na dwa oddziały ludzi swych rozpołowiwszy, w gąszczach zasiadł Bylica... Nieszczęście chciało, by istotnie tabor na noc tu przyciągnął.

Stary zbój dał mu się rozłożyć, konie popuszczać, ognie rozpalić, a potem prawie bez straży usnąć. Po podróży i wieczery sen zawsze twardy bywa... Ludzie Bylicy otoczyli tabór, objęli namioty, a ci co w nich byli nie obudzili się aż im na karki siedli. Zwycięstwo łatwem było... Ci, których nieubito, rozpierzchli się po lasach, a Bylica opanował całe mienie wojska Jaśka Kmity i jego...

W Złotoryi niedomyślano się i nie przeczuwano szczęścia tak wielkiego, gdy Fryda wieczorem z Białym razem wyszedłszy na jedną z baszt, postrzegła na gościńcu ku zamkowi ciągnący długi sznur wozów, koni i ludzi.

Wskazała go księciu.

— Co to może być? — rzekła.

— Albo siano lub zboże do zamku ciągną, bom kazał aby zapasy gromadzić — odparł Biały obojętnie.

Bodeczanka milcząc przyglądała się zbliżającemu orszakowi.

Rozeznąć w nim było można ludzi zbrojnych, wozy skórąmi pookrywane, wręście jeńców przy nich idących z rękami w tył pokrepowanemi.

Fryda zapłonęła przecuciem jakiegoś wypadku szczęśliwego i zdobyczy.

— Ale, patrzcie — krzyknęła — prowadzą niewolnika... Jedzie dowódzca na przedzie...

Biały wpatrzył się, zdziwił mocno i 'począł z baszty zbiegać niecierpliwym. Fryda niezwykła była z nim razem ukazywać się w podwórcach — pozostała więc, wróciła do swej izby i czekała...

Wkrótce ogromnym okrzykiem rozległ się zamek... Nie było wątpliwości iż — łupy i jeńcy jacyś przybywali. Nie mogąc wytrzymać wybiegła do podsieni i tu jej, cały w płomieniach, uniesiony, szczęśliwy książę zwiastował, że Bylica zabrał niezmiernie dostatki, cały obóz i skarb Jaśka Kmity.

Nie znający miary w niczem książę prawil już o mianowaniu Bylicy wodzem naczelnym, swą prawicą — swym hetmanem.

Fryda, która o wszystkich ludziach służących Białemu wiedziała dobrze i umiała ich ocenić, ledwie zapaleczywego mogła powstrzymać...

Zwycięstwo to — które zasililo skarbiec księcia — było nietylko pożądanem dlań, bo jego

gromadom nowe natchnęło męztwo, lecz — w istocie przeciwników na chwilę strwożyło.

Sędziwój, któremu znać o niem dano, Jaśko Kmita też ciągnący z oddziałem Sieradzian, uznali po raz pierwszy, iż Białego lekceważyć nie było można...

Zdał się im groźnym, tem czem był w istocie, że gromadził do siebie wszystkich niechętnych, wszystkich rozproszonych warcholów...

Należało co najrychlej z nim kończyć...

Narazić się wszakże na drugą klęskę — groziło niebezpieczeństwem... Sędziwój z Szubina zgromadził około siebie wszystkich na radę. Połeciono zamki i gródki osadzać, ściągać ludzi, zkad tylko było można.

Urósł Biały książę...

Sam on byłby nawet poczuł to, że był silniejszym i że powinien był korzystać z czasu; lecz Fryda wzmogła to jego przekonanie; zagrzewając i nie dając mu spoczynku...

Dnie całe teraz upływały na naradach wojenych, na planach coraz śmielszych...

Lasota radził najechać na zamek z wieżycą — u lasach — u Służewa, bo mu się zdawało że Ja roslaw, który tam władał, osadę miał szczupłą i nie spodziewał się pewnie najazdu...

Posłano na zwiady Bylicę, którego teraz używano do wszystkiego, lecz wrócił ze złą wiadomością, bo Jarosław się uląkł był, a Sędziwój

mu ludzi podesłał. W innych gródkach także załogi powiększono...

Biały, który teraz o niczem już nie wątpił, upierał się iść na Inowrocław... Była to własna myśl jego, i do niej, jako do swej uparcie się przywiązywał. Fryda, choć z obawą, nie chciała mu się sprzeciwiać.

Wstrzymywano tylko wyjście pod pozorem ściągania większej liczby ochotnika...

Lasota jak mógł gawiedź którą spędzano po troszę wprawiał do rzemiosła jej obcego...

Parobcy byli pobrani od pługów, od trzody, z lasów, nie wprawni do żadnego oręża... nie wiele ochotni do wojowania... Lik ich się pomnażał, gąb było coraz więcej do żywienia—ale prawdziwego żołnierza mało...

Biały niecierpliwił się, a że już groziło w nim zniechęcenie, Fryda po upływie kilku miesięcy nie sprzeciwiała się wyprawie. Między innemi Bylica przepowiadał jej powodzenie... Nie spodziewano się ich pewnie pod Inowrocławiem, trzeba było iść i napaść nieopatrznych...

Dzień nareście został oznaczony. Książę który się dotąd gorączkowo wyrывał, gdy nadeszła chwila stanowcza, począł chodzić chmurny i zamysłony... przed Frydą udawał wielce mężnego i niezachwianego, sam na sam z Bušką, podpierał się na stole, oburącz brał głowę i sumował smutnie.

— Co ty myślisz, głupi Bušku? jak się tobie zdaje? weźmiemy my Inowrocław?

— A waszej miłości jak się widzi? — odparł bazarz — bo mnie coś w oczach ciemno...

— Otóż — i mnie ciemno?

Buško wskazał na drzwi, za którymi była Fryda.

— A tam co mówią?

Biały potrząsnął głową, dał palcem znak towarzyszowi, aby nie mówił głośno.

— Różnie—szepnął...—Ja—ja...—zająknął się i nie dokończył.

— Trzeba iść — dodał po chwili. — Wielk czas... Gdy my na nich nie wyjdziemy, oni wystąpią przeciwko nam. Ten Jaśko Kmita, dał przepaść... powiadają że sobie dobrał Bartosza z Więcburga...

Pokręcił głową i począł marzyć.

— Pobiwszy ich, wzięwszy Inowrocław, Szarlej—niema co odpoczywać, na Brześć musimy... Co najmniej całe Kujawy... Dopiero się wielkopoleanie opatrzą; bo oni czekają tylko... a na mnie się oglądają. Ja to wiem...

Buško ręką machnął.

— Oni czekają! — rzekł kwaśno — a my na nich że nie?? Gdyby oni ruszyli.

— Ruszą się — zawołał książę... — gdy im pokażem, iż wojować umiemy.

Wstał książę niepostrzegłszy że bazarz ramionami zżymnął, i poszedł do komnaty Frydy.

Buśko siadł na przypiecku i spuściwszy wyłysiałą głowę — którą pokrył czapeczką czarną, pono jeszcze z Dyżonu wywiezioną — śpiewać począł bardzo po ciehu...

Wybiera się czajka za morze,
A no, coś tam przeszkadza nieboże...
Co podleci do góry to padnie...
I na jutro znów podróż odkładnie.

Biały stał w progu patrząc długo na siedzącą w oknie Frydę, która z brwiami namarszczonemi, smutną, oczyma kędyś uleciała z myślami, daleko za mury zamkowe...

Czuła ona że książę się zbliżał i zdawała się niechcieć spojrzeć ku niemu...

— Wiecie co — zawołała nagle — gdyby nie wstyd i nie to że w Złotoryi też trzeba kogoś, coby czuwał, gdy wy wszyscy wyciągniecie — siadłabym na konia z wami...

Biały głową potrząsnął.

— Na to bym nie pozwolił — bąknął.

— Lękam się — rzekła powoli Bodezanka — lękam się.

Książę nie dał jej mówić.

— Cóż to w moje męztwo nie masz wiary?

— Owszem, gdy do walki przyjdzie nie wątpię o niem, ale być panem siebie, wiedzieć kiedy

przyjąć walkę i strzymać się od niej, gdy źle wypaść może...

— Tak — gorączka boju mnie opanowuje łatwo — przerwał książę — będę się ją starał hamować...

— Potrzebna i ona jest — odparła Fryda — ale nadewszystko potrzebne ci to przekonanie, iż choćby się nie powiodło — ducha zachować i wytrwać powinienś.

Książę nie mógł nigdy znieść, gdy mu o niepowodzeniu mówiono, poruszył się zaraz.

— Nie może się mi nie powieść — odrzekł gwałtownie — na cóż czynić takie przypuszczenia? Oni wielkich sił nie mają — a moi już się im dali we znaki? Bylicę znają!! Pamięta go Kmita.

Rozśmiał się głośno; Frydę ta zarozumiałość trwożyła.

— Tak, mój książę — odezwiała się. — Bylica jest zręczny napastnik, twoi ludzie są śmiało łotry, ale nie żołnierze prawdziwi. Wolalabym dwudziestu sasów mego brata Ulryka, niż ich całą secinę.

Dotknięty tem lekceważeniem swych ludzi, Biały rzucił się niespokojny i prawie gniewny.

— Obejdę się bez sasów waszych — krzyknął, stoją w boju twardo, to prawda, ale ciężcy są i obrać się nie umieją.

— A takich by ci właśnie było potrzeba, aby

ustali tam, gdzie murem stać powinni... Twoi tego nie umieją.

Biały niecierpliwił się coraz mocniej.

— Tak! — zawołał — pierzechną może, aby powrócić i nieprzyjaciela napaść — ale to ciury wytrzymałe i szalone.

Fryda poruszyła zlekka ramionami. Z czoła jej zmarszczonego widać było że o przyszłość narzeczonego nie zupełnie spokojną była. Księżę przeciwnie śmiał się, mówił, roił i usiłował w sobie wiarę utrzymać, sztucznie pobudzoną...

Najmniejsze sprzeciwienie się mogło nią zachwiać i obalić — nie pozwalał więc na nic, nawet Frydzie.

Wybór za Wisłę był już przygotowany. Wszy stkich niemal ludzi musiał zabrać z sobą bo mu się zdawało że ich miał zawsze za mało, choć tak bardzo ufał ich męztwu. Fryda pozostawała w Złotoryi, pod opieką Buśka, który równie smutno jak ona na odjeżdżającego pana swego oglądał. Mała garść załogi i robotnicy młynarza Hanki, którzy na brzegu łódzie ogromne budowali, stary cieśla i zięć jego — na zamku też zostać mieli, którego dowódcą mianował Biały Drzazgę, zabierając z sobą Lasotę i Bylicę.

Nałęcz, który był w początku zdumiony wielką rzutkością i przytomnością księcia — obcując z nim codziennie, w różnych wypadkach patrząc nań zblizka, znacznie osłabł w swej wierze i zmienił

przekonanie o charakterze jego. Służył mu z dawną gorliwością, robił co mógł — lecz nie widział w nim człowieka, któryby mógł się stać zdobywcą i bohaterem...

Teraźniejszej wyprawie nie sprzeciwiając się Lasota — prawie ją odradzał, a przynajmniej chciał uczynić ostrożną — nie radząc wszystkiego stawić na kość jedną. Natomiast Bylica pochlebiając panu, zachęcał, podżegał i obiecywał wielkie podboje. Księżę skłonniejszym był do usłuchania go niż do dania ucha radom Lasoty...

I wyprawa na Inowrocław ruszyła.

VI.

Sama jedna na zamku Fryda nie mogła się ani spocząć, takie przecucia złowrogie ją dręczyły. Wyglądała oknem ku rzece, gdzie Hanko z cieślami koło statków i machin chodził — i ten jeden widok cokolwiek ją rozrywał...

Zdała, nie mogąc słyszeć rozmów tych ludzi, widziała ich tylko wejrzeniami bojaźliwemi razem niechętnemi oglądających się ku zamkowi, szepczących coś z sobą — Hankę na tajnych z zięciem rozmowach — i chodzącego niespokojnie.

Niewieściego serca przecuciem poczęła się obawiać tych ludzi, nieprzyjaciół w nich czując.

Jednakże przypisywała to temu smutkowi swemu i niepokoju, który ją ogarnął — a swą barwą wszystko pociągał.

Żyjąc od kilku miesięcy z tym, który niegdyś przed laty takim się jej wydał pięknym, szla-

chetnym, pełnym uroku — bo wówczas bolał po stracie żony — Fryda nie mogła się oprzeć rozczarowaniu...

Chciała jeszcze mieć wiarę w niego, przyoblekała go w to wszystko czego mu brakło — lecz codzień nędzniejszym, słabszym, prawie pogardy godniejszym się jej pokazywał.

Cierpiała okrutnie.

Niechby był choć dla ludzi, choć dla świata, takim jakim go ona mieć chciała dla siebie! I to było niepodobieństwem.

Widziała z oburzeniem że Buśko kochając go, litował się nad nim, a w niego i w charakter meża nie wierzył...

Uczyła go mówić — obchodzić się z ludźmi, codzień powtarzała co powinien był poczynąć, jak się stawić — książkę słuchał jej wprawdzie, lecz nie dobyło to z niego iskry życia.

Siadał lub kładł się z rękami założonemi pod głowę, kazał śpiewać sobie, bajać — bawił się żartami płochemi — prawił o niemożliwej przyszłości, o skarbach, o królestwach, o wielkości — a nie umiał nic zrobić, aby te sny urzeczywistnić.

Nieustannie podbudzany rzucał się gwałtownie i opadał na siłach.

Z myślami temi o człowieku dla którego miłość dawna jej stygła, chodziła Fryda po pustym zamku.

Przyszłość jej wydawała się straszną, bo na nim polegać nie mogła. Mówiła sobie ze łzami na oczach — pójdę do klasztoru, zamknę się gdzieś w murach i umrę...

Po wyjściu znaczniejszej części załogi i ciurów, którzy zamek przepełniali — zrobiło się pusto, cicho — grobowo...

Zdała dochodziło tylko powolne u brzegu rzeki ciosanie robotników Hanki i niekiedy ich głosy...

Drzazga, czując się na zamku słabym i bojąc napadu... — miał na baczności...

Po całych dniach obchodził mury, wdrapywał się na baszty, opatrywał strażę — zaglądał ku wrotom.

Wszystkich zarówno z Frydą opanowywał niepokój — Buśko pił, płakał i siedział w kłębek zwinięty, przysłuchując się najmniejszemu szmerowi.

Fryda, która nad wszystkich była niespokojszą — miała zapewnienie iż gońcy jej będą znawali, co się stanie z wyprawą.

Parę dni jednak upłynęło bez żadnej wiadomości. Na zamku nikt się nie zjawił. Hanko tylko pod jakimś pozorem wysunął się ze Złotyry, zniknął. Powrócił potem, a zięcia wysłał.

Oba chodzili tak przybici, niespokojni, a tak się mało troszcząc o powierzoną robotę, jakby wcale co innego mieli na myśli.

Czeladnicy ciągle coś ciosali, lecz i liczba ich się zmniejszała i budowanie szło coraz opieszelej.

Na to mało kto zważał, bo wszyscy myśleli tylko co się dzieje z księciem i jego ludźmi. Głucho o nich było...

Fryda kładła się do łóżka z gorączką, sen ją odbiegał — wstawiała chora... Na chwilę zdrzemnąwszy się widziała w marzeniach najstraszniejsze obrazy...

Jednego ranka tak, nie mogąc zmrużyć oka, zerwała się z pościeli, otworzyła okno, i wlepiła oczy w mglisty obraz jesienny...

W dali podnosiły się opary z łęgów jak zasłona, rzeka płynęła wezbrana i mętna...

Około poczętych statków zaczynali zbierać się ludzie, którym do roboty nie było spieszo...

Nagle na wodach rozlanych, ukazała się łódź wielka, pędząca spiesźnie, i kierująca się jakby pod zamek...

Kilku wiosłarzy leżąc na wielkich wiosłach, którymi pędzili ją, oglądali się niespokojnie do koła... Jakiś mężczyzna otulony oponczą stał w pośrodku... ludzi kupka go otaczała.

Fryda zobaczywszy baręk, niepodobną do innych, widywanych co dnia, drgnęła niepokojem i przeczuciem jakimś... Im więcej się zbliżała łódź ku brzegowi, tem oczy jej uparciej w człowieku stojącym z głową spuszczoną, chciały dopatrzeć podobieństwa z księciem...

Lecz mógłże to być on?

Sam jeden, na łodzi — bez wojska... bez orszaku??

Fryda nie mogąc wytrzymać, zarzuciła na ramiona płaszcz i tylnymi wschodkami wyszła z zamku ku rzece.

Na ścieżce, która ku niej prowadziła — spostrzegła idącego wprost ku sobie księcia.

Dość było nań spojrzeć aby zgadnąć co się stało. Zuchwały ów rycerz, zdobywca przyszedł — szedł chwiejąc się na nogach, blady — a twarz jego wyżółkła, nagle schudła, oczy wpadły — usta sine... czyniły go podobnym do powstającego z łoża choroby, wracającego od wrót śmierci.

Fryda stanęła zakrywając sobie oczy — nie śmiała go pytać. On — zatrzymał się nieco — potoczył wzrokiem błędnym do koła, tchnął i począł nie mówiąc ku zamkowi się posuwać.

Trzech ludzi odartych, porąbanych, wylekłych wlokło się za nim...

Nie mówiąc nic Fryda zawróciła się nazad... Szli za nią.

Księżę spieszył do izby swej, wszedł do niej, zaledwie na Frydę spojrzawszy, odpasał miecz z pochwą otartą, odpiął zbroję i — rzucił się na łożo... Buško już leżał u nóg jego, Fryda przyklękała w głowach...

Cichym głosem zażądał napoju. Buško pobiegł po wino... Fryda nieśmiała go wypytywać...

Z dziedzińca dochodziły ją wykrzyki ciurów, którzy z księciem wrócili, jakiś straszny pogrom opisujących... Lecz, potrzebaż było więcej co nad widok tego zbiega — aby domyśleć się, że na głowę został pobity?

Po chwili długiej oczekiwania trwożnego, Biały, wychyliwszy kubek wina, który mu podał Buško... podniósł się na rękę, spojrział dokoła obłąkanemi oczyma i zawołał.

— Pod Gniewkowem — pod samym zamkiem moim, była bitwa... Jaško Kmita i ten łotr Bartek z Więzburga napadli mnie. Siły mieli przemagające... Biliśmy się mężnie... ja sam... wszyscy... Lasota... tylko ten zbój Bylica, zdrajca, zawczasie pierzchnął ze swemi...

Potem... trupy leżały... poszli wszyscy w rozsypkę... samo czwart ledwie wyrwałem się, gdy mnie do niewoli już brać mieli...

Koń padł około Nieszawy... Szczęściem czołmo się znalazło... ocaliło mi życie...

Obalił się na łożo i jęknął.

Fryda słuchała blada jak mur a drżąc, spojrziała na zrozpaczonego i powoli się zaczęła podnosić, wstała — twarz znowu oblał rumieniec...

— Nie wszystko jeszcze stracone przecie — zawołała głosem drżącym. — Złotorya została wam... Nie wiem czy Gniewków wzięli! Wszakżeś poczynął z mniejszem...

Nie już dla jednej kleski tracić męstwo i na

dzieje? Ludzie się pewnie rozpiechli tylko... zacząć się zbierać znowu...

Padł Lasota?

— Nie wiem — mruknął książę. — Bylica nie broniąc mnie uszedł w lasy...

Widząc że z zaniemiałego nagle księcia, któremu głosu brakło, niczego się nie dowie—Fryda wyszła z izby... Na podsieni stali ci co z księciem powrócili...

Jeden z nich Jasiak Zrąb płakał opowiadając i spoglądając na ucięte palce u ręki, które w krwawą płachtę związane były...

Fryda przystąpiła do niego...

— Padło wielu? — zapytała go.

— A! poboiszcze trupami usłali — krzyknął Jasiak. — Krew się lała strasznie. Myśmy ledwie się przerabali przez tłumy... Któż mógł podolać takiemu żołnierzowi, okutemu w żelazo, gdy nasi i tarcz nie mieli? Cośmy my warci byli przy nich? Rzuciwszy się na nas odrazu złamali... nikt im nie dostał.

— Lasota? — spytała Fryda, na nim widząc pokładając nadzieję...

— O! ten się bił — rzekł Jasiak — i porąbał go... widziałem jak padał. Nie wiem czy się podniósł...

Na zamku niepokój straszny powstał... Garść załogi trwożyła się, aby Kmita z Bartoszem nie przyszli zaraz pod Złotoryę. Tymczasem zamiast

nich, w kilka godzin nadbiegać zaczęli pojedynczo i gromadkami zbiegli z pogromu pod Gniewkowem...

Coraz to kratę w bramie podnosić było potrzeba i wpuszczać ich, porąbanych, krwawych, rozbrojonych, wlokących pokaleczone konie.

Nadspodziewanie jednak wiele się ich nazad ścigało...

Fryda nie czekając rozkazów księcia, sama Drzazgę zawołała do siebie.

— Pilno mi strzeżcie zamku — rzekła surowo — zdaje na was książę wszystko... Nie jeden raz wojsko nieprzyjacieli pobije, a jutro ono odwetem zapłaci...

Nie dajcie się trwożyć.

Wróciła sama do Białego, którego Buśko nie opuszczał. Słyszając cicho prowadzoną między niemi rozmowę, przytuliła się do drzwi i — zaczęła na progu...

Buśko jęklwym głosem odzywał się do pana.

— Było nam, było rwać się tu na te złowrogię zgłiszczą? Albośmy się tak źle mieli z mniłchami? a nie tam to w Budzie i Wyszehradzie nie można było żyć? A czego nam brakło? Za wierzyłeś złym ludziom...

— Bogdajbym był ich nie znał — zdrajcy — jęczał książę — wszyscy zdrajcy... Jeden Lasota osłaniał mnie i bronił. Bylica uszedł...

Bartek z Więburka napadł na mnie... musiałem mu się odcinać... Jeszcze czuję jak w hełm mnie kordem raził, że mi oczy się iskrami posypały... Lasota mnie wyzwolił...

Tak—Buśku — tak — mądrym zapóźno, dobrze było w Budzie... Odurzyli mnie... i opuścili...

Frydzie dosyć było tego urywka rozmowy, ażeby zrozumieć co się z księciem działo. Drgnęła z trwogi, aby po tej klęsce nie wyrzekł się wszystkiego. Wtargnęła żywo do izby, Buśko zobaczywszy ją głowę spuścił, nogi zaczął panu obwijać i — przypadł milezący.

Bodezanka, choć w duszy jej było chmurno i krwawo, okazywała twarz wypogodzoną.

Biały popatrzał na nią i niemal się zasromił. Ruszyła ramionami.

— Ludzie rozpowiadają — zawołała — że tam więcej zbiegło niż padło? Co dziwnego? Nie inaczej się żołnierz wojować uczy tylko klęskami. Drugi raz lepiej bić się będą.

Już powracają... brama się nie zamyka tyle ich przybiega zewsząd...

Potrzeba tylko silnej ręki, aby ich ujęła... Lasota, szkoda Lasoty...

— Padł — rzekł krótko książę.

— Drzazga go zastąpi — podchwyciła Fryda żywo.

Zbliżyła się do łoża.

— Ranni jesteście? — zapytała.

Książę jakby nie wiedział sam, spojrzął po sobie, na ręce swe i nogi—nie umiał dać odpowiedzi, wskazał tylko głowę, którą siny pręg na pół przedzielał!

Szepnąwszy coś Buśkowi Fryda wyszła.

Dosyć niezgrabnie zabrał się stary sługa do rozbierania księcia, wraz z przywołanem pacholęciem. Biały miał na sobie dobrą zbroję, nie doszły go więc wymierzone nań ciosy — ale przez nią niemal każde cięcie czuć mu się dało...

Blachy gięły się pod razami i cisnęły ciało, które krwią zaskórnią nabiegało...

Ręce, plecy, ramiona, głowa były sińcami okryte... Przyniesiono wino z ziołami gotowanego i zaczęto nim okładać potłuczonego, który zapominając już o klęsce i o wszystkim, głębokim snem usnął...

VII.

Gdy pod Gniewkowem Jaśko Kmita z Bartkiem z Więburka zadali klęskę tak wielką Białemu księciu — wieść o niej rozchodząca się po wielkiej polsce, właśnie w chwili, gdy ziemianie i dygnitarze ze zjazdu w Koszycach wracali — poruszyła zarówno umysły jak nowiny, które z Węgier przyszły...

Dersław Nałęcz, zawsze niby beczynny pustelnik siedzący w swej wielkiej wsi na uboczu, a wiedzący lepiej od innych co się na świecie działo — zabierał się jechać do Poznania.

Z tego co do niego doszło zdala i głuchomiarkował że wielkopole nie zyskali w Koszycach czego chcieli, że tam, jak zawsze krakowscy panowie, Topory i Leliwy, Zawisza z Kurozwęk z ojcem i bratem, wyrobili co chcieli a wielkopolan do milczenia zmusili...

Tyle tylko wnosił z opowiadań, a chciał wiedzieć więcej... Stary więc, mimo pochmurnego dnia już konia sobie podawać kazał i — zabierał się nań siadać, gdy nędzny wóz chłopski parą konikami ciągniony wtoczył się na podwórze, postął nieco u bramy, a potem skierował ku dworowi.

Na wozie wysłanym sianem, nikogo siedzącego widać nie było — stał więc Dersław czekając nań, gdy konie przyciągnęły wreszcie furę i z niej podniosła się błada, obwiązana szmatami głowa Lasoty...

Dersław aż krzyknął z podziwu, a na krzyk ten wnet jego niewiasty z domu wybiegły — na wozie leżał okryty siermięgą, okrwawiony biedny Nałęcz...

— Z pod Gniewkowa! krzyknął Dersław zalamując ręce...

— Ledwie żyw — odparł Lasota. Chciałem się tu zwlec, abyście mi choć pogrzeb chrześcijański sprawili.

Dersław się odwrócił wołając.

— Hej — ślać po babę, po Truchlicę, i po owczarza! Oni mu radę dadzą.

I przystąpiwszy do wozu pytać zaczął po wojskowemu.

— Ucieli ci rękę albo nogę? Nie — chwalić Boga! Wnętrznosci całe? Głowę pokaż?... Kość

nie przerabana... Ran dużo ale mięsnych... Krew się odrobi...

Zajął się zaraz gorąco.

— Na ręce go wziąć i na posłanie moje... krzyczał...

Truchlicę choć za włosy mi ciągnąć, aby z ziemi tu bywała — a rażno!

Gdy Lasotę ludzie podnieśli, choć zęby ścinał, krzyk mu się wyrwał. Niewiasty zawtórowały jękiem.

— Wstydz się! zawołał Dersław.

Co ból znaczy, gdy człowiek w sobie serce ma? Śmieć się? Będziesz zdrów jak ryba.

Truchlica ma zioła co goją choćby ogień był w ranie.

A dawajcie Truchlicę...

Może lepiej niż zioła baby, podziały na Lasotę, piękne łzawe oczy Piotruszy, która z matką za chorym poszła...

Dersław konia odprawił i został przy Lasocie, po męzku się nim zajmując.

Gdy Truchlica oglądała rany i okładała je a lepiła, ów opowiadał jak niegdyś posiekany leczył się i wylizal dzięki temu — (wedle jego przekonania) że miał rozum, bo jadł i pił ciągle a nie dał życiu w sobie zagasnąć.

Wnet krupnik kazał warzyć tłusto dla Lasoty — a tak był pewien, że z pomocą Truchlicy, oweczara i krupników zdrowie rychło powróci,

iż chciał czekać z podróżą do Poznania, ażby się Nałęcz dźwignął.

Być może, iż zawsze podejrzewając powinowatego i Piotruszę o serdeczniejszy niż go sobie życzył stosunek, wolałby był chorego z niewiastami samymi nie porzucać.

A tu znowu sprawa ogólna na sercu mu leżała.

Z Lasoty dobywszy co tylko on wiedział o księciu i jak o nim sądził, dłuższy czas z nim spędziwszy — Dersław zawyrokował.

— Na tego Piasta—znoska niema się co nam oglądać — darmo! Trzeba się wyrzec wszelakiej myśli o nim. Sprzeciwiałem się temu, gdy Przedpek, Szczepan z Trłaga i Wyszota powróciwszy zawyrokowali o nim, że z niego nie nie wyrośnie—myślałem że wprost podrażnił ich i źli nań byli — ale teraz widzę, że to duda jest, w którą dąć potrzeba nieustannie, aby jaki taki głos wydała.

Więc precz z tymi dudami! niech się na nią nie oglądają nasi—trzeba Ziemowita Mazura uprosić... Ci wiedzą czego chcą i dokąd idą...

Właśnie z tem postanowieniem pilno było na zjazd Dersławowi—lecz że do Poznania się, czekając na wyzdrowienie Lasoty, opóźnił — a niechętni królowi mieli się zebrać na obrady w Gnieźnie—tam i stary pospieszył.

Nie był na zjeździe w Koszycach na Węgrzech,

i mało co wiedział o skutkach jego, chciał się i o tem dowiedzieć i wniesć, aby się już Białego a na nim pokładanych, wyrzeczone nadziei.

Gniezno wybrali sobie wielkopolscy malkontenci dlatego może, iż tam i najliczniejszy ich zjazd mógł przejść niepostrzeżony, bo go bodaj niedziela, święto i pobożność usprawiedliwiała.

Zaleciwszy więc żonie aby na Truchlicę zdała pilność około chorego, a Piotruszy do niego na straż nie posyłała — z dodatkiem, że młody, choć posiekany niebezpieczny... Dersław podjadłszy dobrze, napiwszy się i przeżegnawszy do Gniezna wyruszył.

Znalazł tam już ludzi znacznych wielką gromadę i niemal wszystkich tych, którzy z Węgier powracali. Ponieważ na zamku arcybiskupim, ani w żadnym gmachu widoczniejszym, nie mogli się zebrać przybyli, musiano obradować w szopie...

Jedną z nich przy gospodzie obszerną, oczyszczoną z wozów i śmiecia, tatarkiem wysypano i jedlinką, poustawiano stoły i ławy, podesoło słomę pod nogi, i — niewymyślne rycerstwo ówczesne jakby w najwykwintniejszych gmachach — znajdowało się pomieszczonem wygodnie...

Krom tych, którzy stronę króla i starej królowej trzymali, a z krakowianami byli związani, znalazło się tu prawie wszystko co wielkopolska miała najdostojniejszego...

Nałęczów szczególnie, rozrodzonych bujnie, było mnogo.

Duchowieństwo też z różnych stron licznie się zjechało

Domagano się naprzód od tych co w Koszycach byli, aby o przebiegu sprawy z królem Ludwikiem dali wiadomość.

Wieść już była tu doszła że król naprzód, nie mając męskiego następcy po sobie żądał, aby się Polacy zgodzili na przyjęcie za królowę, córki Katarzyny — przeciwko czemu opór był wielki. Tymczasem Katarzyna zmarła i po niej znowu na Marję przelać chciał król jej prawa...

Z tych co z Koszyc powracali, za najwymowniejszego uchodził Pobożanin imieniem Spytek, na którego też zakrzyczano zaraz aby głos zabrał, może dlatego że, choć mąż był poważny i słowa łatwego, mawiał tak zawsze wesoło o największych sprawach, że raczej do śmiechu niż do roznamiętnienia pobudzał.

Spytek wstał, w boki się wziął, spojrzał po zgromadzeniu i począł.

— Miłościwi moi — rzekł — radbym był, gdybyście mi z powodzenia i zwycięstwa kazali sobie liczbę zdawać, a nie z pogromu — tymczasem i biedę a upokorzenie własne trzeba znać, aby się z nich dźwigać.

Wiecie to, że naprzód nami bez nas, chciano rozrządzać i nawet do Koszyc na zjazd nie po-

wołano Wielkopolski, aby co Dobki i Zawisze postanowią my przyjęli z pokorą.

Wrzawa mu przerwała. Spytek pomilezał, brodę poprawił, węża pokręcił i mówił dalej.

— Rozmyślili się potem i zawołali nas do Koszyc... Jechaliśmy tedy tłumnie, a z tem postanowieniem żeby poradnego nie dać — i córki na tron nie dopuścić...

Zwołano nas zrazu słodkimi słowy, na lepiąc — którym krakowianie aż się oblizywali.

Gdy przyszło do głosów — a Dobkowi wszyscy za soczewicę tron sprzedąć ofiarowali się — myśmy się oparli.

Huknięto znowu i przykłaśnięto wołaniem.

— A opierać się będziemy... po kądzieli tron nie pójdzie. Piast się znajdzie...

Spytek poczekał, dał znak ręką i mówił znowu.

— Gdy Dobkowi zobaczyli, że przy swoim stojemy twardo, że nas ni starostwy, ni pieniędzy, ni łaskami nie kupią — poczęli naprzód grozić... niełaską króla.

A no, kto łaską wzgardził ten i na niełaskę zważać nie będzie.

Chodzili koło nas, chodzili — nie zmogli. Co dzień spodziewali się, że zmiękniemy a na próżno. Jeden drugiego pilnował. Duchowieństwo błogosławilo...

Ciągnęło się tak już dni kilka, aż naostatek Jurga stary (tu wskazał na siedzącego) wniósł,

że w Koszycach nie mamy czego siedzieć dłużej, byśmy krakowian bodaj porzuciwszy, tłumnie odjechali... ażali bez nas co poczną.

Musiała o tem wieść zaraz prysnąć po mieście, bo oni zawsze ludzi na podsłuchach mieli — ulękli się naszego postanowienia... Dobiesław z synem pobiegli do króla spłoszeni wołając, że wszystko się w niwecz obróci, gdy wielkopoleanie precz pójdą.

Dopieroż radzić.

A wiedzieć to trzeba, że to miasto Koszycę zewsząd jest warownemi murami opasane, ani do niego wleść ani z niego wyleść nie można, ino przez wrota, u których i mosty zwodzone i brony są i straż.

Prawda, że pierwszych dni, otworem dla nas stały, a kto chciał kupić czego mu w mieście nie łatwo było dostać — wyjeżdżał na wioski...

Zawisza widząc poradził królowi, aby ze strachu tłumnego odjazdu naszego, wszystkie wrota pozamykać i straż mocną ustawić.

Pachołków nawet naszych po siano i obroki, o które w mieście ciężko było, nie chciano za miasto puszczać.

Strach nas ogarnął, bo dalej śmiercią głodową ginąć by przyszło... Pobiegli niektórzy do Zawiszy na zwiady.

Temu niewola w Koszycach słodką była, bo

król go żywił, a węgierok pięknych siła miał,
do których, mimo sukni swej, mógł się przysiąść.

Szli do niego Wąż i Mleczo.

Przyjął ich Podkanclerzy z uśmiechem drwią-
cym na ustach...

Na wołania i skargi jedną miał odpowiedź...

— Posiedźcie w Koszycach aż wam się na-
przykrzy, konie wyzdychają, a wy schudniecie
i dobremu panu przestaniecie się sprzeciwiać...
Dla jednej wielkopolski, że ma muchy w nosie,
kraj cały cierpieć nie może...

Cóż wy lepszego od krakowian, czemu to co
nam dobre, wam nie do smaku? — Przemyślawa
się wam chce osobnego w Poznaniu, ale tego
mieć nie będziecie.

Z ~~na~~ stołów zaczęto wołać.

— Zobaczemy!

Lecz zamilkli wnet i słuchali. —

— Poszliśmy z niezem raz i drugi i trzeci —
mówił Spytek. Niektórzy chcieli z Koszyc prze-
bojem iść, ale panowie duchowni nie radzili. Nie
jeden zmiękł i powiadał, podpiszmy co siłą wy-
módz chcą, a potem zaprotestujemy...

Tu zaś do nas krakowianie biegać zaczęli
modląc a prosząc, że wielkie wolności i przy-
wileje dla rycerstwa i ziemian król daje, i na
wszystko się pisać trzeba, aby je zyskać, bo
ich potem już nikt odebrać nie potrafi.

Prawdę rzec — dawał król wiele, ale nie to
co myśmy chcieli.

Wymogli na nim krakowianie od wszelkich
danin, opłat i posług wolność zupełną, krom dwu
groszy z łanu na Ś. Marcina; obiecał ich na służ-
bę rycerską nie wołać za granicę, tylko za so-
witem wynagrodzeniem; o wszelką sprawę rady
pytać, bez niej nie nie stanowić; urzędników
nie mianować ino swoich, a książąt i z krwi ich
nikogo; po miastach też sadząc tylko ojczyców
tych ziem, w których one leżą. Naostatek i pod-
wody królewskie darował...

Słuchano w milezeniu...

— A no — zamruczał Dersław... obiecać
łatwo, zobaczymy co strzyma... Małopolany się
otacza, oni radę jego stanowić będą, po ich myśl,
pójdzie wszystko... a my jak byliśmy tak bę-
dziemy upośledzeni.

Spytek westchnął.

— Dajcież dokończyć — rzekł, — trzeba dopić
kwaśnego piwa które nam nawarżono...

Za te wszystkie łaski a swobody córkę na
tron z mężem jakiego jej wybiorą, przyjąć mu-
siemy; więc choćby niemiec był czystej krwi,
która nam jest trucizną... kłaniać mu się bę-
dziemy musieli.

— Ho! — ho! wołano po bokach...

— Zobaczemy! — śmiejąc się, dodawali inni.

— Tu nam już i głód się dawał czuć po tro-

szę i tęsknota wielka... a bramy w Koszycach jak stały, tak stały zaparte... Rada w radę, milcząc przystać musieliśmy, aby nam je otworzono.

Wstał Sędzia Janko z Ostrowa i rzekł grubym głosem.

— Z musu się na to wszystko pisało nie po dobrej woli, więc zgoda nie warta nic, a myśmy tako wolni jak przedtem byliśmy...

— I córki jego nie chcemy!—krzyknął Nałęcz stary, a za nim podniosła się burza głosów wołających. — Nie chcemy!!

Wrzawa taka powstała, że Spytek obejrzawszy się i widząc że darmoby chciał przyjść do słowa. Siadł na ławie, ręką machnąwszy.

— Miłościwi, — zagadał Pobóg jeden — przywilejem królewskim, jaki on jest, pomiatać się nie godzi. Mnie się widzi, że byleśmy umieli, pętle z niego zrobić można, na której i Ludwika i następców jego wodzić będziemy mogli, jako się nam zda.

Zważcie i to, że król Kaźmirz ziemian gniótt chłopów głaskał, mieszczan wynosił, cudzoziemców sprowadzał, że rycerstwo za niego nie mogło nic, bo je jak Maćka Borkowicza głodem morzył i ścinał... a Koszycki przywilej ziemian podnosi tak, że teraz bez nich nie ruszy się nikt i jak oni zaśpiewają, wszystkie skakać będą musieli.

Przeciągłe odpowiedziało milczenie; wstał Dersław.

— Między słowem, pismem, a czynem szerokie pole — rzekł.

Król, co takie swobody wielkie nadawał, w Koszycach przecie głodem was morzył i więzieniem zmuszał, abyście te łaski przyjęli.

Panowie piszą inaczej, a inaczej czynią... Wiatr to te obietnice... Co nam po nich? Pan nie swój, obyczaj mu nasz i kożuchy śmierdzą, córka też obcą nam będzie, mąż jej obcym—pójdziemy pod panowanie niemców...

Nam Piasta trzeba i do ich krwi powrócić...

Nikt nie przeczył — lecz wielu mruczało.

— A zkadże go wziąć?

Odezwał się z kąta jeden.

— A cóż? gromadą iść do Białego, pomagać mu... Niech się potrzyzyma... weźmiemy go sobie... Warchoł niczego...

Wstał Dersław...

— Mów raczej, że warchoł do niczego,—krzyknął.—Popytajcie tu przytomnych Wyszoty, Przedpelka i Szczepana co go z Dyżonu wywieźli, jako macił a płał im co dzień co innego pragnąc. — Widzieliśmy jako się rzucił na zamki, zdobył ich kilka a potem poddał, gdy się mógł trzymać.

Teraz go Jaśko Kmita z Bartoszem potłukli

haniebnie u Gniewkowa. — Sędziwój weźmie go znowu, bo ma jak w garści w Złotoryi.

Ja sam — dodał Dersław — patrzałem nań i rachowałem na niego, — miałem powinowatego u jego boku, co każdy krok śledził — i powiadam wam, że tam z tej krwi Piastowskiej, ino woda została...

Niema się co na niego patrzeć, nie godzi mu się pomagać...

Słaby jest a okrutny, gwałtowny a nieporadny, i mieni się jako księżyc — który raz wraz chudnie i rośnie...

Nam innego pana potrzeba.

— Zkądże go wziąć? — rzekł Sędzia — słazcy piastowie, niemcy czyste...

— Mazurów mamy — rzekł Dersław. — Ziemi wita ciągnąć musimy. Mówią, że się opiera, bo się Ludwika lęka, a no — z czasem może nie stać go, nawróci się Ziemowit...

Gdy Dersław mówić przestał, żaden głos nie dał się słyszeć ani za Białym, ani przeciwko Ziemowitowi...

Naradzano się raczej jak go sobie pozyskać, bo wiadomo było, że go już napróżno kuszone...

Bartosz z Odolanowa, na którego się oglądało wielu, słuchał, spozierał w koło, lecz choć go się wyzywać zdawano, nie chciał głośno przemówić.

Siedząc tylko na ławie, a rękami szeroko na stole się rozparłszy — rzekł najbliższemu.

— Czasowi to zostawcie — i nie myślcie o innym — zyszczemy go... Teraz o tem mówię, a króla i królewskich oczy nań ścigać — niepotrzeba...

Już wiem, że — gdy pora nadejdzie — gotowym go znajdziemy.

Dersław, który pochylony słuchał — zamknął cichą naradę słowy

— Gniewkowskie książątko... aby ludzi nie bałamuciło, głów darmo nie zawracało, i krwi nie kosztowało napróżno, potrzeba zdać na jego własne losy...

Nikt się za Białym nie ujął, owszem Wąż rzekł, pogardliwie ramionami ruszając...

— W Złotoryi się on nie utrzyma długo... Jaśko Kmita, Bartosz z Więcburga, a pono i Każko Szczeciński, który im w pomoc ma iść, zmogą wywłokę, ani mu ci z Drzdenka będą posiłkowali, choć siostrę ich wziął, słyszę, sobie — bo się ulękną.

Zbójów i włóczęgów tylko kupę ma...

Za tem niektórzy z poważniejszych o Mazurach szeroko i długo mówić poczęli, jako był ród ludzi rządných, surowych ale mocnej dłoni.

Wspomniał ktoś Opolskiego Władysława, ale przeciwko temu zaraz się głosy ruszyły, niemcem go zwąc — Każko Szczeciński, choć wielu miał przyjaciół, na pana też nie widział się im stworzony, bo miał to co i Biały — gwałtowność wiel-

ką a niestałość jeszcze większą. Lepszym od niego ludziom się wydawał — jednak z Mazurami mierzyć się nie mógł...

Stanęło na nich jednoznacznie...

Dopieroż na kupki i gromadki rozdzielili się różni, rozpytujać o Koszyce, o ów sławny przywilej i niedowierzając mu a szukając w nim złego. Już to jedno, że pochodził od Krakowian, że Topory go wyciosały, a Leliwa im przyświecała, szlachcie wielkopolskiej podejrzanym go czyniło...

Zjazd Koszycki nieprzyjaźni między dwiema polski połowami nie tylko nie złagodził, ale ją podniósł do najwyższej potęgi.

W ogóle też, nie tylko małopolska do walki z wielkopolską się gotowała, ale w tej nawet na dwa obozy rozpadało się ziemiaństwo; bo kto z królem trzymał, do Krakowa jeździł, łaską się jaką chlubił, tego odstępowano i za wroga uważano.

Z tych co ani czarnemi ni białemi niebyli, a stali na boku, trochę się na zjazd do Gniezna przywlokło; niektórzy Nałęczom się ująć dali, ci co się czuli więcej pociągnięci do Sędziwoja, do Grzymałów, wprędce szopę opuścili.

Im liczba w niej się zmniejszała, tem narada poufalszą, otwarciej nieprzyjaźną dworowi i jego stronnictwu się stawała

Liczono siły, wymieniano tych, co króla i królowej stronę trzymać mogli i Dersław Nałęcz do-

wodził, że przewagę mieć będą ci, co Piasta żądali...

Pomiędzy niemi Bartosz z Odolanowa, wielu równie możnych a mężnych i silnych się znajdowało. Mieli też za sobą znaczniejszą część duchowieństwa, które, choć głośno się nie odzywało i czynnie nie występowało, sprzyjało Nałęczom... bo je pobór z łanu zniechęcił a poddanie ogólnemu prawu stanowisko jego zachwiało...

Tak ów zbór długo w noc jeszcze obradując w szopie, nazajutrz słowem związany mocnem, powoli się na różne rozproszył strony.

VIII.

Zamek w Złotoryi, którego mury mocne i rzek dwie broniły—pomimo usiłowań Sędziwoja z Szubina, Jaśka Kmity i innych ściągniętych dokoła, aby nie dać Białemu księciu więcej się rozposcierać—bronił się przez zimę całą, bronił wiosną jeszcze...

Książę, chociaż najmniej się może przyczyniał do tak wytrwałego oporu, był nim dumny i sobie go przypisywał tylko...

Nawet przed Frydą, która go dobrze знаła już, rad był odegrywać rolę bohatera, a że mu wstyd było porażki pod Gniewkowem, której zapomnieć nie mógł, przypisywał ją właśnie o tym czasie w uzbrojeniu polskiego rycerstwa zaszłe zmianie.

W istocie Racowie, którzy z Ludwikiem Wę-

gierskim na służbę do Polski przybywali—uzbrojeni byli drzewcami i tarczami.

Dawniejsze rycerstwo polskie jeździło z kuszą, miało haki u pasa i schyliwszy się na koniu, kuszę o nogę oparłszy, naciągali ją. Zbrojne też było w rohatyny uwiązane na koniu przy lęku i wlokące się za niemi, ztąd zwane włóczyniami; a u boku nosiło miecze... Rohatyny te, a nawet i kusze dla drzewców rzucono ¹⁾, książę użyciu ich pod Gniewkowem, a brakowi u swoich żołnierzy, całą klęskę przyznawał. Powtarzał co dzień. — Gdyby nie drzewce!! gdyby nie te drzewa ich przekłęte!

Ale ku obronie zamku ani włóczni ni drzewca użyć nie było można... Postawiono pod murami zbudowane przez Hankę młynarza tarany i różne do rzucania pocisków ciężkich porobione maszyny gromadzono kamień, smołę, miano się na baczności wielkiej. Tymczasem, gdy Bylica, który był uciekł sromotnie z pod Gniewkowa—powrócił, tłumacząc się i uniewinniając, przyjął go książę i do dawnej łaski dopuścił, a nawet nad Drzazgę i innych go przekładał.

Bylica przypochlebiać się umiał, rozum i wielką umiejętność księcia wynosił bardzo.

Biały też powiadał o nim, iż człek był rozpuszczony, zuchwały, ale do wypraw niespodzia-

¹⁾ Bielski.

nych, do napadów śmiałych równego sobie nie miał.

W istocie Bylica miał węż drapieżnego zwierzaka, miał zręczność rysia lub żbika, który zasa-
dza się w gąszczu i pada na swą pastwę jak
piorun z góry.

W ciągu tych kilku miesięcy, z kupkami lu-
dzi, jak on sam zwinnych—wrywał się z zamku
wielekroć, i, choć na niego czatowano, nie dając
się pochwycić—napadał na siola, na dwory, na
małe oddziały wojsk, nie dając im spokoju. Gra-
bieże te udawały mu się szczęśliwie a wiele
szkód przyczyniały Sędziwojowi z Szubina.

Przyszło do tego, że oddziały prowadzone
przez niego z Kujaw się posuwały w głąb wiel-
kopolski, porywały co mogły, a gnane, schra-
niały się w mury zamkowe. Książę z nich równie ko-
rzystał jak dowódzca, który lwia zawsze część
łupu, umiał sobie przywłaszczyć.

Największym zyskiem było to, iż się Złotorya
obroniała, i opędzała...

Sam książę w grabieżach tych i wycieczkach
nie brał czynnego udziału, lecz — zdało mu się—
że nimi rozporządzał. A że, gdy mu się powo-
dziło—rosł na duchu wielce Fryda miała tę po-
ciechę, iż ciągle prawie widziała go zajęтым swą
sprawą, wcale nie myślącym o tem, aby uległ
przewadze Sędziwoja i uląkł się sił jego.

Książę rachował wielce na umiejętność Hanki,

na pomoc, jaką mu mogły dać maszyny coraz
nowe i czołna przez niego budowane. Temi nie-
kiedy także zbrojne kupy puszczały się Wisłą
i nadbrzeżne osady plądrowały.

Niewypuszczano więc bogatego młynarza, ani
zięcia jego ze Złotoryi, chyba pojedynczo i to
na krótko, jednego zawsze zatrzymując jako za-
kładnika.

Hanko, który oko miał przenikające i widział,
że się to wszystko źle skończyć musi, rad był
co najprędzej się ztąd wydobyć i powrócić do
swych młynów, a zyskać łaskę u wojewody Sę-
dziwoja...

Począł się coraz częściej wymykać, posyłać
ludzi w różne strony, wreszcie zauważano, że
opieszale chodził około tego, co mu powierzono.

Fryda z przenikliwością niewieścią oddawna
zdrajcy się w nim obawiała, książę się śmiał
z tej obawy.

Na tydzień jakoś przed zielonemi świątkami—
powziawszy podejrzenie większe, gdy znowu
Hanko się do Brześcia prosił, Bodezanka pota-
jemnie wysłała za nim człowieka, który kroki
miał jego śledzić...

Ten, powrócił w pędzie, dając znać, że mły-
narz mu się wysliznął—znikł, lecz że najmocniej-
sze miał podejrzenie, iż do obozu Kmity, ku któ-
remu i inne siły się ściągały, musiał się udać.

Czekano go z powrotem.

Biały, któremu zdradą nieochybną głowę nabito, gdy się tylko stary młynarz z powrotem zjawił, natychmiast do siebie pozwać go kazał...

Było to w naturze słabego a gwałtownego człowieka, iż gdy wziął co do serca, stawał się okrutnym... Szło mu też o to, aby Fryda słabości się jego nie uragała...

Sam książę szedł do izby na dole, w której już pacholkiwie przywiedzionego młynarza trzymali... Blady był i drżał stary opasły człek, ale z oczów jego, oprócz trwogi i gniew okrutny tryskał...

Biały wpadł nań rozszokowany jak dzik...

— Mów prawdę — krzyknął — ja wiem wszystko! Uknuleś zdradę ty z zięciem twoim...

Znosicie się z wojewodą, chcecie mu mnie wydać i zamek...

Hanko złożywszy ręce, belkocząc się, wypierał..

Wejrzenie człowieka zuchwałe, będące w sprzeczności z postawą uniżoną — zaparcie się, rozjątrzyło Białego.

— Na męki cię każe wziąć! — zawołał...

— Męczcie mnie jak chcecie — jęknął Hanko — jestem niewinny...

U księcia, gdy wpadł w ten stan szaleństwa, od słowa do czynu nie było daleko...

Chciał natychmiast dać go na męki, ale się okazało że tych klub, sznurów i całego przyrządu

jakiego naówczas używano do wyciągania stawów, nie było na zamku.

Uszedł by może podejrzaný Hanko, gdyby w progu zbójów Bylica, który wszędzie księciu się nastęczał, nie pokazał się ze złym uśmiechem na skrzywionych ustach.

Miał on do młynarza srogą urazę, że mu się obedrzyć nie dał i obchodził się z nim lekceważąco.

— Miłościwy książę — rzekł przestępując próg i kłaniając się nisko... Nie potrzeba ani klub, ani żadnego przyrządu — my umiemy i bez tego z ludzi prawdę wyciągnąć...

Biały słuchał — A, jak?

— Niech mi, miłość wasza pozwoli, ja go tu zaraz jak należy wypowiadam.

Hanko spojrział nań, jakby o miłosierdzie błagał, ale już było zapóźno. Bylica zemsty pragnął.

W pośrodku izby stał ciężki, ogromny stół dębowy; na dany przez księcia znak, Bylica z wielką rozkoszą i wesoło, jakby na zabawę szedł, z pacholkami ujął Hanke, związał go i na ów stół wyciągniętego położyć kazał.

Nieszczęśliwy starzec drżał niewiedząc co z nim poczną, błagając księcia o miłosierdzie, i poprzysiegając, że jest niewinny. Nie to niepomogło...

Bylica pacholkom kazał przynieść świece i po-

chodnie, nogi obnażył staremu — i — gdy książę, nieco strwożony cofnął się w głąb od tego widoku, sam począł z czeladzią piec stopy młynarza...

Czas jakiś Hanko jęczał tylko, wrywały mu się krzyki bóleści, które cały zamek ściągnęły pod okna... zbiegli się ludzie...

Bylica, który serce miał okrutne... swoje robił — nogi się skwarzyć poczęły, Hanko rzucał się w boleściach okrutnych, naostatek krzyknął, że powie wszystko...

Natychmiast książę dał znak, i pochodnie od popalonych już stóp odjęto...

— Mów — zawołał przystępując Biały...

Wejrzenie, które Hanko rzucił na niego, pełne było wzgardy i gniewu...

— Tak! — krzyknął młynarz. — Zamek i ciebie poudać chciałem, ale nie ja jestem zdrajcą tylko ty, coś przeciw królowi twemu i mężowi siostrzenicy swej szedł zdradą — tak, słałem do Sędziwoja, byłbym mu wrota otworzył, aby dla ciebie ludzie darmo nie ginęli...

Biały, gdyby nie wstyd jakiś, sam byłby się rzucił na młynarza — ludzie bić go poczęli, Bylica głębiej mu policzkiem zamknął.

Widok był straszny i przejmujący. Zwiększyło okropność to, że wpadł na krzyk zięć Mańko, który jak szalony rzucił się naprzód do teścia, potem na kolana przed księciem, błagając go za

starym, i ofiarując okup, życie swe, wszystko, byle życiem go darował.

Hanko sam milczał.

Księżciu oczy dziko zaświeciły...

— Masz jeden sposób ocalenia jego i siebie — zawołał podniesionym głosem. — Pójdiesz natychmiast do obozu Sędziwoja, i powiesz mu ode mnie — rozumiesz! ażeby jutro się tu stawił z ludźmi niewielką, a ja otworzę mu zamek i poddam. Powiedz, że głód nas do tego zmusza...

Puścim ich tu... puścim, a potem wyrzeżem do nogi!

To mówiąc książę zatarł ręce i śmiał się.

Mańko klęczący, objął nogi jego i poprzyśiągł, że sprawi jak mu przykazano.

Hankę, który na popalonych nogach stać nie mógł i jęczał z bólu strasznego, kazał książę pacholkom wziąć i rzucić do więzienia.

Sam, jak gdyby już był zwycięzcą — wyszedł zaraz chwalić się tem co uczynił do Frydy.

Krzyk i wrzawa w czasie tego okrutnego męczeństwa na dole dokonywającego się, już były Bodezankę zaniepokoiły i — domyślając się jakiego wypadku, biegła szukać księcia.

Drżący z gniewu i szału w jaki wpadł, Biały począł żywo, jakając się, bełkocząc, śmiejąc dziko, opowiadać jak wielkiego dokonał czynu.

Czekał od niej pochwały i uwielbienia dla

roзумu swego i okazanej siły—Fryda zmarszczyła się, ramionami poruszyła i odparła sucho.

— Wolałabym abyście w polu i po rycersku walczyli...

To mówiąc, odwróciła się i poszła zamknąć się w swojej komorze.

Nie zraziło to ani powstrzymało księcia—rad był z siebie, a wielkie rzeczy obiecywał sobie z tego podstępu, który obmyślił. Wyobrażnia malowała mu już pochwyconych w połapkę najczynniejszych dowódców, najniebezpieczniejszych przeciwników,—wojewodę, za którego spodziewa się ogromnego okupu, Bartka z Więcburka, na którym pragnął się pomścić, Kmitę bogatego i mogącego mu się opłacić, a choćby siostrzeńca Każka Szczecińskiego, bo o nim słyszał, że szedł także przeciwko niemu.

Wnet Bylica, Drzazga i co było najulubieńszych zauszników wezwani zostali na radę.

Bylica pański rozum pod niebiosą wynosił—cieszył się i zaręczał, iż nie łatwiejszego nie będzie, jak wszystkich pochwyć — wpuścić ich bronię ciężką spuścić, otoczyć i powiązać...

Gdy na zamku się to działo, nieszczęśliwego Mańkę wnet wypędzono aby do obozu jechał. Dano mu nawet klucze od wrót na znak, że zamek gotów się poddać...

Młynarz i zięć jego znani byli w obozie wojewody, puszczano więc przybyłego natychmiast,

jako chciał do samego Sędziwoja, który podczas w namiocie z jednym tylko Frydruszem z Uścia się znajdował.

Rycerz to był odważny, dzielny, w siłę wieku a wojewodzie wielce ulubiony.

Mańko, choć pragnął się niewydać z boleścią która go tu przygnała—aby teścia ocalić, stanął przed wojewodą tak pomieszany, iż zaledwie mógł mówić. Sędziwój usłyszawszy wesołą nowinę, nie zważał na to jakim głosem była wypowiedziana. Ucieszył się niepomiernie...

— Cichoż — zawołał, — oprócz mnie i Frydrusza nikt o tem niepowinien wiedzieć. — Pójdziemy my sami i zabierzemy tego warchoła, który o to już czasu tyle na nogach nas trzyma! Bogu niechaj będą dzięki.

Mańko na słów klucze okazywał...

Rzecz się zdawała tak prawdopodobną, iż najmniejszego podejrzenia i wątpliwości nie obudziła...

Sędziwój nie przez zazdrość jakąś, aby drużdy w sprawie tej udziału i zasługi nie mieli ale aby nie poruszać obozu i niepotrzebnie go w niepokój nie wprowadzać, zamilczał o tem przed innemi dowódcami...

Drugiego dnia on sam z Frydruszem i seciną ludzi wyruszył ku Złotorzy, jakby tylko na zwiały szedł...

— Nareszcie wojna ta głupia i niepocziwa

się skończy, mówił uradowany po drodze... lecz, jeśli Białý się spodziewa, że ja go wolno puszczyć, myli się srodze... Odeślę królowi, niech z nim czyni co chce... gotów mi raz jeszcze powrócić i wicherzyć.

Zmierzchać zaczynało, gdy zamek się ukazał, tak jakby w nim wszystko usnęło, nie objawiający żadnego znaku życia...

Na murach nikogo nie było.

Widok oddziału posuwającego się ku wrotom jawnie, nikogo nie zbudził. We wrotach wielkich ciężka brona żelazna, która je zawierała, była podniesiona.

Frydruszowi z Uścia aż serce rosło, Sędziwój też cieszył się, a rycerstwo z pośpiechem ustawiło się też przy wrotach, które Mańko kluczami jakie miał, odemknął...

Podwórze zamkowe w które wzrok mógł sięgnąć — puste się zdawało.

Chciał zaraz Sędziwój sam wjechać już na zamek, gdy pierwsi przodem jadący nacisnęli się i poczęli wciągać...

Tuż za nimi jechał Frydrusz Wedel i właśnie pod wzniesioną kratą, obciążoną dwoma ogromnymi głazami znajdował się, gdy Białý, który niespokojnie patrzył na wchodzących — aby ich zbyt wielu nie puszczano, dał znak i ciężka brona żelazna z trzaskiem padła z góry, brzęcząc łańcuchami i gniotąc męznego rycerza, który z jed-

nym krzykiem rozdzierającym padł z koniem razem rozbity na miazgę...

Cisza, która dotąd panowała na zamku — wrzaskiem podniesionym w wojsku pozostałym wojewody i tem, które wpadło do Złotoryi — przerwana została...

Na murach zjawili się ludzie rzucając pociski, w podwórcu napastowano dwudziestu kilku pochwyconych i rozbijano wylekłych.

Sędziwój stał jak skamieniały z bóleści, szczególnie po Frydruszu, którego miłował bardzo. Łza mu się zakłęciła w oku.

— Pomszcza go lub żyw niebędę! — zakrzyczał, wołając do powrotu...

Księżę tryumfował na całe gardło wrzeszcząc.

— Zdrada za zdradę! zęb za zęb...

Sędziwój nie miał się czasu oddalić, gdy Białý wypadł na blanki i pięść mu pokazując, lżyć go począł i odgrażać mu się.

Wojewoda wzgardził tem, i milczący odjechał.

Ci co weszli na zamek, musieli się poddać...

Rwano od nich oręż z rąk, zdzierano zbroje, ogalano z odzieży — naigrawając się nielitościwie. Bylica śmiejąc się, chwycił co było najlepszego przy rycerstwie, przywłaszczając sobie łup chciwie... Ludzi obnażonych w części do więzienia zamknięto, częścią pod straż do usług przy zamkuznaczono.

Mańka młynarza, też książę zaraz do ciemnicy w której teś jego jęczał, rzucić kazał...

Część nocy zesła na obchodzeniu pijatyką odniesionego zwycięstwa łatwego, z którego książę się szczególnie cieszył, niemogąc pojąć dlaczego Fryda jego radości niepodzielała.

Jak szalony był, biegając po zamku, śpiewając i choć mu się owych wodzów nieudało pochwycić, o których marzył—rad był temu co uczynił. Chwalił się nawet przed Buskiem, ten ramionami ściągnął.

— Ano—rzekł—dobra psu i mucha, ale żebyś był książę nie krzyknął, kratę spuszczać—byłby i wojewoda w naszych rękach...

Biały o mało nie uderzył ulubieńca za to, że śmiał mu to powiedzieć. Buśko tylko zręcznym zwrotem uniknął wymierzonej na swą głowę pięść.

Fryda zimno jakoś słuchała opowiadania.

— Niedalej jak jutro — odezwiała się — gotuj się obłężenie odpierać...

— Nie będą śmieli! — krzyknął Biały — a zechcą li spróbować — jam gotowy i sprawię im dobrą łaźnię...

Spojrzała nań Bodezanka i zamilkła... Codzienne obcowanie z księciem, jego porywczosć i niestałość, gorączka i odrętwienie przychodzące z kolei—oziębły dlań Frydę, miłość jej wystygła już była, a Biały wydawał się jej gorszym może i mniej godnym przywiązania i współczucia, ni-

żeli był w istocie. W tej chwili życia swojego właśnie, krew stara rycerska raz jeszcze w nim zakipiała wielką potęgą; zdolnym był do czynu i pragnął być czynnym, gotów był stawieć gardło dla czci swojej. Niestety była to chwila tylko, może największej energii do jakiej kiedykolwiek był zdolnym, ale za trwanie jej nie nie ręczyło.

W najmniej znaczących ludzi żywotach, trafiają się godziny takie, podnoszące ducha i niemal przetwarzające człowieka.

Przepowiednia Frydy po krótkim namyśle, zdała mu się trafić — a przynajmniej możliwość jej urzeczywistnienia prawdopodobną; potrzebował też być czynnym, wybiegł więc natychmiast sam rozkazując przysposabiać wszystko do wściekłej, rozpaczliwej obrony.

Drzazga, sam już był wpadł na tę myśl, że Sędziwój bezkarnie spełnionej zdrady nie przepuści i czuwał nad zamkiem, a Bylica osławiony wiedząc, że go za rozboje nie minie surowy sąd, od którego okupem żadnym nie będzie się mógł uwolnić, biegał już ludzi zagrzewając, i na mury wynosząc co tylko mogło przeciw szturmowi służyć.

Właśnie ten Hanko, który dziś w męczarniach wił się w ciemnicy, zbudował im był dwie ogromne rzucające pociski kamienne tarany... które za działa starczyć mogły...

Ustawiono jeden z nich przy wrotach, drugi w miejscu najsłabiej obronnem.

Oreż odebrany jeńcom posłużył do uzbrojenia najmniejszych ludzi... Postawiono czaty, a Bylica, pomimo niebezpieczeństwa na jakie się narażał, wybiegł konno aby dostać języka. Po kilku godzinach powrócił czwałem zdyszany, niosąc księcia, który z podworca nie schodził, wiadomość, że wszystkie siły Sędziwoja i Kmity, pomnożone zastępem który przywiódł z sobą Każko Szczeciński, ruszyły z obozowisk i ciągnęły na Złotorję.

Nie strwożyło to księcia — pragnął tylko aby co najrychlej rozpoczęła się walka, dopóki czuł ogień w duszy...

Nie zdejmując zbroi, którą był wdział we dnie, nie myśląc o spoczynku, zapominając o Frydzie, książę spędził noc całą na obchodzeniu blanków, baszt, murów i przemawianiu do ludzi, którym kazał beczki wytoczyć.

Sam upojonym był jakimś rozpaczliwym zemsty pragnieniem. Przychodziło mu już na myśl, iż niepotrafi się dłuższy czas ostać... Chciał ze złością zginać przynajmniej.

Dreżyło go i to, że Każko Szczeciński, tak blizki powinowaty szedł przeciw niemu, zamiast być pomocą — że wszyscy, nawet bracia Frydy opuszczali go... że pozostał sam — i bezsilny.

Burzył się w duszy i żądał boju, któryby go mógł upoić i nasycić.

Ranne brzaski zapowiadały dzień chmurny, lecz wiosna ma słoneczną siłę, która roztopia chmury i rozpędza słoty...

Z oparów poranku zaczęło się wybijać słońce, gdy tentent i wrzawa nadciągające pułki Sędziwoja oznajmiły.

Biały z założonemi na piersiach rękami stał i patrzył z baszty wierzchołka... Cóż znaczyła garść jego ludzi przeciwko temu tłumowi dobrze zbrojnemu, wypoczętemu, nieznuzonemu walkę żadną.

Wielkopoleanie i Sieradzanie szli śpiewając i chorągwiami powiewając — gromadami, które natchmiał zamek opasywać poczęły.

Można już było rozpoznać dowódców... Książę widział poważną postać Sędziwoja, wyrrywającego się naprzód ogniście Bartka z Więcburga, a naostatek poznał Każka Szczecińskiego, panię dumne, śmiałe, ulubieńca wszystkich, co mu służyli — sławnego ze swej szczodroty, bo do ostatniego kubka rozdawał co miał przyjaciółom, tak, że sam czasem niedostatek by był cierpieć, gdyby go królowa nie wspomagała...

Każko ten mężny, ochotny do każdej wyprawy, wybrał się na tę, jak na łowy... Widać go było na koniu podbiegającego pod mury, wskazującego je ludziom i czynnego jakby mu o własną sprawę chodziło.

Białemu żółć serce zalała na widok człowieka,

który mu tak był bliskim, a nieчем nie zmuszonym do powstania przeciw niemu. Nie uczynił mu nigdy nic—za cóż szedł cisnąć go za gardło?

Z baszty swej rzucił nań takim wzrokiem, jak gdyby on był beltem co go miał przebić...

Z ogromnym wrzaskiem, wedle zwyczaju, Sędziwojowe rycerstwo rzuciło się ku murom, wlokąc drabiny z sobą, niosąc topory do rąbania, ogień do rzucenia pod wrota...

Wiedziano, że Białych ludzi miał skąpo, rozprószono się więc gdzie tylko przystęp był możliwy, aby nieprzyjaciela siły rozdzielić. Drzazga to był przewidział i słabsze miejsca osadziwszy, tam gdzie mur potężny sam się bronił, postawił tylko straż. Z użytkowano wczorajszych jeńców, dając ich po jednemu i dwóch między oddziały i podgardłem nakazując dźwigać kamienie, poruszać sznury taranów...

Pierwszy szturm, na który czekała cierpliwie załoga, odparto z wielką siłą... padło oblegających wielu...

Z machin Hanka jedna wyrzuciła kamień ogromny, który w oczach księcia, obalił z koniem Szczecińskiego księcia...

Zdało mu się, że przekleństwo jakie nań rzucił zobaczywszy go, ręka Boża spełniła. Obalony pomimo rzucania się podnieść się nie mógł. Ludzie na rozestanej opończy ponieśli go do namiotu...

Nowy ten cios Sędziwoja, który nadbiegł zaraz, wprawił w rozpacz prawie, krzyknął ażeby wszelkimi siłami zamku dobywać. Rzucili się rozwściekleri Sieradzanie — osłaniając tarczami sypali pod mury usiłując wdrapać na nie — lecz załoga powodzeniem rozzuchwalona broniła się mężnie i zwyciężko. Pociski z murów obalały ludzi stosami, kaleczyły i zabijały...

Po kilkakroć powracały coraz nowemi posiłkami dopełniające się oddziały i musiały pobite się cofać.

Białych szalał z radości... Własnymi rękami spychał kamienie, naciągał kusze, rzucał belty... nie dał się oderwać na chwilę.

Kilka strzał odbiło się o jego zbroję, kilka utkwilo w sukniach, drasnęła go któraś, i na krew spojrzał z dumą i uśmiechem.

Spostrzegłszy biegającego na koniu i kierującego szturmem Bartka z Więcburka, księżę nie mógł się powstrzymać, aby pochyliwszy się ku niemu, nie cisnął nań obelgą i kłatwą.

Bartko podniósł głowę i rękę mieczem zbrojną.
— Miałem cię już raz — zawołał — wysłiznąłeś mi się jako tchórz, i ratowałeś ucieczką, lecz drugi raz... nie ujdiesz mi, wywłoko!...

Księżę zatrząsł się z gniewu i obie pięści podniósł... pieniać się ze złości. Przypomniła mu się bitwa pod Gniewkowem—a gorzej jeszcze raniło go wspomnienie mniszego kaptura.

Rzuciłby się był na zuchwalca, gdyby mury ich nie dzieliły.

Do późnego wieczora trwały coraz odnawiane porywy z różnych stron i próby wdrapania się na mury, wszędzie ze szkodą odparte.

Książę, ciągle latał podlegając, obdarowując, zachęcając i sam na żadne nie zważając niebezpieczeństwo...

Wieczorem, gdy oblegający do obozu się już cofnęli, który tuż u zamku się rozłożył... i szeroko rozciągnął, tak aby żywa dusza wymknąć się nie mogła z niego—załoga obawiając się niespodzianego jakiego napadu, pozostała z murów nie schodząc...

Fryda, która przez cały ciąg dnia tego, stała na baszcie, zarówno z Białym rozgrzana widokiem walki, w końcu osłabła i znużona musiała pójść spocząć. Oko jej, które policzyło wszystkich bojowników i własną moc — przewidywało że najrozpaczliwszy opór nie podoła przemagającemu wojsku Sędziwoja...

Cud tylko mógł ocalić Białego...

Lękała się aby i on, nie strwożył się w końcu...

Lecz chwila tego opadnięcia na siłach jeszcze nie była dlań nadeszła. Biały wbiegł za nią do komory, pierwszy raz dnia tego zdejmując szyzak z głowy potem oblanej.

Twarz miał pogodną zwycięzcy i postawę dumną.

— Dzień pamiętny w mojem życiu — zawołał. — Poznali że wywłoka potrafi walczyć — i serca mu z piersi nie wyjęły mnichy...

A jutro... zobaczą że bezkarnie zdrady, choćby zamierzonej nie puszczą...

Fryda podniosła głowę i pytającym okiem nań rzuciła...

— Tak — ciągnął dalej Biały — kazałem u murów pod przekopem, naprzeciw obozu nałożyć stos... Na śniadanie upiekę im na nim Hanke i jego zięcia!!

I wyrazy te i głos jakim wymówione były zdumiały tak i przestraszyły Bodezanke, że się z posłania porwała...

Widząc niedowierzającą, książę powtórzył...

— Tak — jutro do dnia obu ich na stosie spalić każe, niech widzą że się poddawać nie myślę i do ostatka bronić będę... Toć przyjaciele Sędziwoja i jego sprzymierzeńcy, niech giną.

Fryda nie zebrała się na odpowiedź, gdy Biały popatrzywszy na nią, nie chcąc spoczywać, chwycił tylko ze stołu dzbanek z winem, nalał kubek, wychylił go duszkiem i wyszedł z trzaskiem drzwi zamykając za sobą.

W istocie niespodziany ten widok, nadaremno już okrucieństwa przygotowany był na rane następny...

Z obozu widziano nakładny stos, niemogąc

zrozumieć do czego on mógł służyć. White w pośrodku dwa pale, widne z daleka, sterczały dla patrzących zagadką...

W nocy Sędziwój się nie kusił pod zamek. Ludzie jego, którzy pod przekop podchodzili i ze stojącymi na murach mieniali obelgi i pogroźki, krzyczeli, że choćby do zimy tu stać mieli, od Złotoryi nie odejdą...

Ciemności dopiero sprowadziły krótką ciszę, jak na brzask w obozie ruszać się poczęto.

Tę chwilę przygotowywania do nowego szturm wybrał właśnie Biały na ukaranie zdrajców.

Sędziwój z Bartkiem starostą Kujawskim tylko co byli wyjechali od namiotów dla obejrzenia murów i narady co dalej poczynać, gdy wielką furta Bylica z pacholkami wyprowadził młynarzy na stracenie. Hanke, który na nogach popalonych stać nie mógł, dwaj pacholcowie pod pachy ująwszy, nieśli do zgotowanego dlań słupa. Oprawca na stryczku ciągnął Mańka do drugiego... Czeladź zażegniete pochodnie niosła...

Widok ten dziwny i straszny wstrzymał wojewodę i starostę. Hanko ku nim błagając ręce wyciągał... napróżno...

Nad wrotami naprzeciw stał Biały i niecierpliwie na stos wskazywał...

Wnet skazanych sznurami przykrepowano do słupów, i suchy chróst i łuczywa u nóg ich podpalało. Dym kłębamися wzniósł się do góry...

Sędziwój nie chcąc patrzeć na widowisko, to zawrócił do namiotów... Tu także czekała go boleść niemała... Rażony wczoraj kamieniem z zamku mężny książe Szczeciński dogorywał. Ksiądz wyszedł był od niego — a ranny z obojętnością rycerską czekał już ostatniej godziny...

Sędziwój blady, pożegnawszy go, wyszedł z namiotu i mierzył zamek oczyma...

— Tyle ofiar—zawołał—tyle krwi i żywotów dla jednego czleka, który Boga, przysięgłszy mu, zdradził i nikomu wiary nie strzyma...

Starosta Kujawski ręką wskazał na mury.

— Ujść mu tym razem nie damy—zawołał—od rzeki kazałem mieć baczność pilną, aby się nocą na lada czołnie nie wymknął. Stać trzeba, głodem go weźmiemy...

— Za długoby było czekać końca — odparł Sędziwój. — Mylę się może... lecz sądzę, że po rozpaczliwej obronie i tej wściekłości w jaką wpadł — niedługo o miłosierdzie prosić będzie... Takim jest...

Bartek z Więcburga zżymnął się tylko, i bluźnął znowu obelżywym.

— Wywłoka...

Dnia tego nie szturmowano...

Spokój ten, który mógł się zdawać dla obleżonych pożądanym, był w istocie dla nich zgubnym.

Przypadek czy rachuba sprawiła to, czego żądał wojewoda.

W walce, we wrzawie kąpiąc się Białły byłby wytrzymał z tym zapalem jaki go unosił chwilo-wo—w spokoju wytrwać długo nie umiał.

Pod wieczór już rzucił się na łożę i twardym snem usnął, mając swojego Buśka u nóg.

Fryda przyszła, spojrzała na niego, i zachmu-rzona powróciła do swej komory. Przeczowała, co się w duszy jego dziać miało...

Dopiero następnego dnia zbudził się Białły, przetań oczy, i zobaczywszy Buśka, zapytał go.

— Szturmują?

Cheiał już zbroję wdziewać i za oręż po-chwyć.

— Nie — siedzą cicho — rzekł błazen wzdychając. — Pewnie Każka, który zmarł, grzebać będą.

— Każko? umarł? — krzyknął książę.

Buśko głową potwierdził.

— I koń zdechł co pod nim był, i on w nocy skończył—odezwał się. — Szkoda! taki pan był, co sam z drewnianego kubka pijał wodę, a służba ze srebra wino...

Zmilczał zaszępiiony książę. Rzucił się na łożę i oczy wlepił w pułap.

Wyczekawszy trochę, jeść i pić podawać kazał.

Milczący pił i jadł, gdy weszła Fryda. Spoj-rzeli na siebie. Kobieta postrzegła zmianę na warzy, która była u niego zawsze wiernem du-cha zwierciadłem. Oblicze ostygłe było, brwi na-wisłe, oczy zagasłe.

— Każko zabit!—rzekł cicho...—Widziałem jak go kamień przywalił...

Dźwięk głosu osłabły, zachrypiły — potwier-dził to, co powiadały oczy.

Nie mówili prawie z sobą, Fryda każdy ruch jego śledziła. Gdy Buśko, który ustąpił, powrócił do izby, książę wysłał go na mury, dowiedzieć się czy walka nie rozpocznie się na nowo.

— Darmo ślać — rzekł bajarz — darmo... Szturmu już oni przypuszczać nie będą.

Spojrzał nań Białły.

— Zwijają obóz? — spytał.

— Nie! — zamruczał Buśko — nie, mówią że ludzi darmo tracić nie chcą, gdy i tak wezmą nas głodem...

Książę się rzucił na siedzeniu.

— Nie pleć — głupcze — zawołał.

— Oni to plotą nie ja — szepnął Buśko i westchnął.

Wstał Białły od stołu i po izbie się przecha-dzać zaczął, resztką energii drgała w nim, mając skonać...

— Drzazgi zawołać! — krzyknął.

Stawił się dowódzca, z twarzą nie wesolą i blizną zalepioną od strzały.

— Na wiele czasu żywność mamy?—zapytał stojąc naprzeciw niego ksiązę.

Oczy Drzazgi zwrócone ku panu odpowiedziały wprzód niż usta...

— Dwie niedziele nie pomrzemy—rzekł—ale nie utyjem... Mąki mało... gąb przybyło... boć i jeńców dwudziestu kilku karmić trzeba...

Stali naprzeciw siebie milczący, ksiązę się nagle odwrócił i dał mu odprawę ręką.

Popatrzył w okno, przeciągnął się i jak kłoda obalił się na swe łożo, rękę podkładając pod głowę. Fryda chodziła po izbie, Buško siadł w kącie i spoglądał ku niemu...

Czuła Bodeczanka że chwila to była stanowczego przełomu; sprobowała słowem wlać w niego męztwo...

— Gdy się spodziewać nie będą, wycieczkę niech zrobi Bylica... Żywność rzeką by podwieść można.

— Gdyby była — odparł Biały. — Zamek ścisnęli jak w garści, nie wymknąć się i myszy z niego. Dwie niedziele... a potem!

Nie dokończył.

Zerwał się niespodzianie z łoża.

— Dwie niedziele!... — począł tym dawnym głosem zwątpienia. — Wszysey mnie opuścili, wszyscy — twoi... moi...

Każkę pan Bóg skarał... tak— ale królowa Elżbieta kochała go bardzo, król także, większy jeszcze gniew mieć będą ku mnie...

Ręce rozłożył szeroko...

— Nawet pocziwie zginać nie mogę! — dokończył. Padł znowu na łożo, oczy zakrył Fryda słowa już z niego dobyć nie mogła...

IX.

Tydzień upływał, wojsko obozem stojące do koła, zbliżało się wprawdzie ku przekopom walczyć na słowa z załogą... lecz szturm ani napści nie przedsiębrało...

Biały stracił zupełnie odwagę, nadzieję i cierpliwość. Z każdym dniem słabł więcej...

Fryda chłostała go szyderstwem, znosił je z obojętnością, milczący...

Cheiał się z zamku ratować ucieczką przez rzekę—okazało się, że pilnowano wszędzie i strażę się na barkach dzień i noc zwiąjały...

Nietylko one, lecz załoga też w tym przymusowym, złowrogim spoczynku straciła siłę swą, i znużyła się nim.

Drzazga z obawy głodu karmił ją coraz gorzej. Skargi i narzekania słyszeć się dawały.

Najzjadlejszy obrońca, Bylica, przez dni kilka pochodziwszy zasępiony — jednej nocy zniknął, jakby wpadł w wodę.

Domyślano się, iż z murów spuścić się musiał, a że po nim wszystkiego można się było spodziewać, księżę uląkł się zdrady... Podwojono czujność.

Następnej nocy, cicho bardzo, Biały Buśka obudził, który spał przy nim.

Długo rozespany bazarz, nie mógł po śnie twardym odzyskać przytomności.

— Trutniu—zawołał księżę, schylając mu się do ucha — Słuchaj! Na ciebie nikt nie zważa, boś ty ani żołnierz, ni wódz... puszczą cię wszędzie... Każ sobie do dnia furtę otworzyć, idź do wojewody.

— Aha! — przerwał Buśko... jam wiedział, że się to tak skończyć musi...

Biały udał, że nie słyszy...

— Głodem nas wezmą — dodał. — Ty nie odemnie, ale od siebie mu się nastęrcz... Zobaczym, co powie...

Nie bardzo rad narzuconemu pośrednictwu, zasępił się Buśko, poskrobał — lecz musiał spełnić przykazanie.

Głód i dla niego był bardzo strasznym...

Księżę odprawiwszy posła, położył się w łóżko kryjąc przed Frydą z tem, co uczynił. Posunął do tego stopnia udanie, że wstawszy pilno i gło-

śno począł się dopytywać o starego sługę i gniewać, że się gdzieś bez opowiedzi zawieruszył...

Wszystko to nie oszukało Bodezanki, która ciągle chodziła milcząca, dumna, nie okazując, jak dawniej ani czułości żadnej dla księcia, ani zbytniej troskliwości o los jego...

Książę też był dla niej ostygly, jakby mu ciężyla, lecz wiązały go przyrzeczenia, słowo dane a trochę potrzeba serca, które się do nikogo nie przywiązało, a do niej — nawykło...

Z Buśkiem mówił otwarcie, nie potrzebował grać żadnej bohaterskiej roli, bo ten znał go nadto, z Frydą bawił się w bohatera tragicznego, sądząc, że masce tej uwierzy.

Wiedzieli wszyscy w twierdzy, że stary kłębek (tak nazywano książęcego bajora) — był wiernym sługą, a co czynił to z polecenia jego było; zrana, gdy zażądał aby go puszczone, choć się to podejrzanem wydawało — otwarto mu furkę... Drzazga przez okno w murze popatrzył dokąd się uda i widział, że zakręciwszy się trochę, bokiem ku obozowi zmierzyl. Dało mu to do myślenia.

Buśko musiał dobrze rozważyć jaką przybrać postać wchodząc do obozu, co mówić... i w jaki sposób... Śpiewak, trochę trefniś, bajor — mógł łatwiej niż kto inny pól żartem na próbę rzucić, coby pospolitemu nie uszło człowiekowi. Nie-szczęściem przychodził w złą godzinę, gdy w obo-

zie panowało rozdrażnienie i smutek, żal po zabitym Frydruszu i po zmarłym z rany Każku Szczecińskim.

Nie zapytał go nikt gdy się do obozu wsuwał, ani kim był, ni z kąd i z czem szedł... Namioty stały popodnoszone dla gorąca, ludzie pokotem odpoczywali — czynności nie było widać wielkiej, tylko czaty pod zamek chodziły.

Z namiotu Szczecińskiego księcia zdjęto jego chorągiew a zawieszono czarną — widać w nim było trumnę już zabita i osmoloną, przy której świece się paliły i księża śpiewali...

Sędziwoja wielki namiot z chorągwią hetmańską łatwo poznać mu było. On też sam w łosiowym kaftanie, bez zbroi, siedział na pniu u wnijsia i z Bartkiem z Więcburga rozmawiał.

Zobaczywszy Buśka, który miał całem życiem wyrobioną i fizyognomię i postać stanu swojego — Sędziwój się namarszczył. Nie widział go nigdy w życiu — ale się domyślił posła od księcia i jego dworaka.

Buśko raz i drugi krąg zrobiwszy, w końcu zbliżył się i zdjawszy kołpaczek, pokłonił.

— Z kąd? — zapytał wojewoda.

Buśko na zamek wskazał

— Od księcia? — cóż za obowiązek sprawujesz przy nim?

Buśko skromną przybrał postawę.

— Jak kiedy — odparł — gdy wesoło nam, to ja

mu śpiewam, gdy smutno to z nim płaczę, a gdy głodno — mrę jako i on.

— Posłano cię, czyś sam z zamku uszedł... pytał wojewoda.

— Sam, sam — bijąc się w piersi poczał bazarz — Nudno mi się zrobiło siedzieć tam zamkniętemu...

Wojewoda i Bartek ciekawie mu się przypatrywać zaczęli, a badawcze ich spojrzenia poniekąd zmieszwały Buśka, chociaż starał się butno nastawić.

— Z czymżeś to przyszedł, mój człeczko—odezwał się Sędziwój.

Po krótkim namyśle, Buśko rzekł.

— Z prośbą, z prośbą, ino nie od pana, bo on nadto hardy, aby prosił o co... ale od siebie, od siebie — królu mój...

Milczał patrząc nań pilno wojewoda. Buśko też cedził wyrazy, badając jakie robią wrażenie...

— Z prośbą, z próśbeczką — rzekł.

Mnie się widzi, panie wojewodo, królu mój, że gdyby księciu kto dobre słowo powiedział, cała ta niepotrzebna wojna by się skończyła.

Sędziwój podumał.

— Alboż na słowa z nim można co uczynić? — odparł — poddał się raz i nie strzymał przyrzeczenia...

— Panie mój? a król też dał mu co! choć na obwinienie palca! — pochwycił Buśko —

Cóż biedota ma robić? Kaptur mu zaciężył — ojcowizny tylko pragnie... więcej nie...

— Króla pana naszego obraziwszy tak srogo! i tyle krwi wylawszy! — krzyknął wojewoda.

Buśko wydał tłuste policzki i pogłaskał się po głowie lysej...

— Jużci mu coś dać trzeba — szepnął.

— I nie nie dawszy go weźmiemy—przerwał Bartek.

— Pewnie... za rok, za dwa — rozśmiał się trefniś — i nabije wam jeszcze ludzi.

Sędziwój, który po stracie Frydrusza nie mógł się uspokoić, westchnął.

— Ja go znam—poczał Buśko powoli, dobrem słowem wiele z nim zrobić można...

Poślijcie doń kogo...

Strząsnął głową wojewoda.

— Próżno kłamać — rzekł — on ciebie posłał do mnie — więcej posłów nie potrzeba... Powiedz mu, żeby mi się poddał... a może u króla przebaczenie otrzymać — i — jeśli nie swoje księstwo, bobyśmy, gdyby siedział na niem, nigdy spokoju nie mieli, to okup zań...

Ze spuszczoną głową słuchał zakłopotany poseł.

— Poślijcie kogo — powtórzył.

— Aby uwięził lub na męki dał jak tego nieszczęśliwego Hankę... Nie! — ja nie pošlę nikogo...

— To będzie się tak ciągnąć długo — odparł

Buśko—boć trzeba go przekonać, namówić trzeba. On ani myśli o poddaniu się i — będzie do ostatka walczył.

— Do ostatka chleba — przerwał Bartek szderczo — a tego, my wiemy, że już niewiele macie...

— Do głodu daleko — rzekł Buśko. — A no — jak wola wasza...

To mówiąc, na kołpak, który w ręku trzymał popatrzał, i cofać się zaczął.

Wojewoda, choć tak ostro go zbył — nie rad puszczał z niezem. W istocie chciał skończyć co rychlej z warchołem i gotów był do umowy przystąpić, godność swą tylko musiał poszanować i nie okazywać żądzy zbytnej ani pospiechu.

Buśko już szedł, gdy zawołał za nim.

— Powiedz księciu swojemu, że dobrze uczyni gdy rychlej się podda — bo prędzej później musi to uczynić — a dziś — możeby król łaskawszym był...

Zawrócił się bazarz...

— Odemnie co posłyszysz, nie wiele ważyć będzie — rzekł cicho — wezwijcie na rozmowę...

Wojewoda potrząsnął głową.

— On niech o nią prosi — rzekł krótko... i wszedł do namiotu.

Tak z małym czem Buśko musiał powracać. W drodze ci co go poznali jako sługę księcia poszturgali go trochę, obronił się im, błaznując.

U furty pilnujący Drzazga kazał mu ją otworzyć. Książę sam leżał na dole...

Od wrót idącego do izby jego zobaczyła Fryda — i już pewną była prawie, że książę znowu knuje coś, myśląc o poddaniu się. Jej krew się na to burzyła.

— Ni żyć ni umierać nie umie! — powtarzała do siebie, miotając się.

Na widok Buśka zerwał się Biały, kazał mu przyjść blisko, aby ich nie podsłuchano i uważnie nastawił ucha opowiadającemu.

Oburzenia nie widać było na jego twarzy — prawie się wypogodziła ona — nie rzekł nic.

Położył palce na ustach... i wstał aby pójść do Frydy...

Spodziewała się go może — zastał ją chodzącą niecierpliwie po komorze.

— Oni nas głodem zamorzą! — odezwał się siadając.

— Do tego jeszcze daleko — wybuchnęła kobieta — gdy głód przyjdzie — z załogą można wyjść i przebić się...

Ruszył ramionami książę.

— W gołem polu nasza garść się im nie ostoi.

— To wybiją nas i umrzemy rycersko a go-dnie — zawołała Fryda.

Biały spuścił głowę.

— Ale ja mam nadzieję, że mi król Gniewków puści, gdy...

Niedokończył. Fryda za niego rzuciła szyderstwo.

— Gdy mu się poddasz i przestaniesz na jałmużnie?.. Nie sądz, by ci dał choć piędz ziemi... zapłaci za nią... a na księstwo nie puści!..

Biały zamilkł...

— Śmierć z głodu albo od miecza! — zamruczał — ot co zostało... ja żyć chcę?

— Choćby z kajdanami na nogach? — spytała Bodeczanka.

Nie dając odpowiedzi, wyszedł gniewny.

Z południa zatrabiono u wrót, księżę jednego z jeńców wyprawił prosząc o rozmowę z Sędziwojem... Lecz, sam raz zdradą go podszedłszy, obawiał się też napaści jakiej. Chciał rozmowy na moście u wrót, lub za przekopem, i żeby sami byli.

Wojewoda odparł, że on ma więcej powodów niedowierzania — chciał rozmowy w polu, przed obozem...

Biały się lękał...

Zawieszono nkłady — postać nie miał kogo... Drzazga się bił dobrze, ale mówił nie do rzeczy.

Uszedł dzień, Biały zaczął już niecierpliwie się i zżymać. Cokolwiek poczynął, pilno mu było — jutra się obawiał, bo siebie się nie czuł pewnym...

Połowę niemal załogi wzięwszy na most, aby być od napaści bezpiecznym, wyszedł do Sędzi-

woja na pół drogi do obozu. Wojewoda wyjechał z małą kupką, lecz pięknie zbrojnych ludzi. Pozsiadawszy z koni, zeszli się sami — nieufnie patrząc sobie w oczy.

Wzrok Sędziwoja z Szubina miał tą siłę, jaką daje charakter męzki — Biały nie mógł go znieść, spuścił oczy pierwszy — drgnął, buta z jaką chciał wystąpić, opuściła go.

Zabelkotał, że radby wojnę skończyć.

— Ja także — odparł Sędziwój — lecz ja księcia mam w ręku. Chcecie li zdać się na mnie?...

— A cóżeście mi wyrobili pierwszym razem, gdy tak piękne otrzymałem obietnice? — zapytał księżę.

— Nie obwiniajcie mnie — rzekł Sędziwój. Ja wam nie mogę nie dać, nie przyrzec, wszystko od króla zależy, lecz słowem rycerskiem ręczę, że się starać będę, aby los wasz osłodził.

Ze zwieszoną na piersi głową, słuchał księżę — widać było, że się wahał, że gotów był się już poddać.

Sędziwój dodał jeszcze.

— Czyniłeś miłość wasza, coś mógł — sromu niema zdać się, gdy inaczej być nie może.

Weźmiem li Złotoryę — naówczas prawo wojny zawyrokuję o was... łaski się spodziewać nie możecie.

Dumny księżę nie odparł już ani żalem, ani

groźbą, stał to cofając się, to podchodząc, otwierając usta i niewiedząc co powie.

— Dajcie mi słowo wasze rycerskie, że się ze mną obejdziecie nie jak z jeńcem i więźniem, ale jak krwi mojej przystało.

Wojewoda zwolna rękę mu wyciągnął...

Biały, który miał żelazną rękawicę na rękę, zdjął ją i bladą, wychudłą dłoń podał.

Jedno słowo rzekł tylko ponuro i cicho.

— Jutro...

Tak, nad wszelkie spodziewanie wojewody, skończyło się rokowanie prędko i stanowczo... Uległ Biały, sam niewiedząc jak do tego został doprowadzony, lecz, gdy zawrócił się ku zamkowi, gdy pomyślał o sromocie jaką musiał znieść, o wyrzutach Frydy, o upadku własnym, wstrząsł się cały, zapragnąwszy raczej śmierci.

I ten poryw trwał nie długo... Do wrót doszedł już ostyglejszy.

— Do klasztoru nie powrócę — mówił sam się pocieszając...

Do dolnej izby wszedłszy, znalazł tu Buśka, który wiązał jakieś sakwy, jakby się wybierał w drogę. Ten pewnym już był końca... Mruzczał sam do siebie nie patrząc nawet na pana, nie pytając go o nic.

Fryda też nie zeszła z komory swej — a on iść do niej nie śmiał...

Pod noc piosnkę jakąś kazał sobie zaśpiewać Buśkowi — ale ten głową potrząsnął

— Bij kiedy chcesz — rzekł, — nie będę śpiewał, płacz mnie dławi...

Na zamku, choć nikt nie wiedział, że się podać miano, gotowali się do tego wszyscy...

Twarze były prawie wesole... bój bez nadziei dokuczył wszystkim...

Podniosłszy się z łoża, niespojny książę myślał co uczyni z Frydą... jak jej powie, iż podać się przyrzekł — jak namówi aby do ojca wracała...

Na to potrzeba było odwagi, której nie miał, Lękał się wyrzutów — trwożył własną słabością. Przecież słowo jakieś wyjąknąć było potrzeba.

Kilka razy szedł i powracał... Gwałtownie, potem wpadł do izby Bodezanki. Ta siedziała odziana na pół po mężku, gotowa do podróży, z twarzą zestarzałą, smutną i bladą.

— Muszę się poddać — zawołał książę — umowa stanęła...

Czekał na odpowiedź — Bodezanka milczała wzgardliwie.

— Wracajcie do ojca... ja nie mam kąta — dodał Biały.

— Nie opiekujcie się mną — zawołała suchym głosem boleści zwyciężonej Frydy — do ojca nie powrócę, bo i ojciec i bracia sztydziłoby ze mnie... Nie! w Gdańsku klasztor mnie czeka...

Odwróciła się od niego.

— Frydo! — odezwał się z wyrazem rozpaczyliwym Białły...

Wskazała mu na drzwi mileząc... zwróciła się ku oknu — i płakała może, lecz łez jej nie widział nikt.

Książę postawszy u progu upokorzony — wysunął się po cichu.

W obozie, w którym już poddania się spodziewano, ruch był widoczny... książę po kilkakroć szyszak kładł, wychodził i wracał...

Wstał potem, wybiegł i kazał otwierać wrota.

W tejże chwili z komory swej zbiegła Bodczanka, na którą koń czekał i sług jej dwu...

Nie oglądając się, nie pytając o księcia, który wyjść do niej nie śmiał, siadła na konia...

Zaledwie podniesiono bronę, ona pierwsza, nie zakrywając twarzy wybiegła z zamku. Sędziwój, który stał niedaleko, Bartek z Więcburka, wiedzący kto była — przepuścić ją kazali, nie zatrzymując...

Pominawszy ich, mając wolną drogę przed sobą, Fryda uderzyła konia i puściła się cwałem...

Oblegający już się do wrót zbliżali, mając na czele Sędziwoja i Bartka, gdy Białły cały we zbroi swej najlepszej, w płaszczu szkarłatnym, w pasie rycerskim ukazał się na koniu.

Buśko z węzełkami na plecach szedł za nim.

Bartek z Więcburka, którego ta pycha książę

zęcia przy zdaniu się na łaskę oburzyła i rozśmieszyła, buchnął szyderskim śmiechem.

Posłyszawszy głos ten książę, drgnął, konia strzymał i zdarłszy z ręki żelazną rękawicę, cisnął ją w twarz Kujawskiemu staroście.

— Na ostre! — krzyknął. — Na ostre!

Niespodziewanego wyzwania tego Bartek nie mógł odrzucić. Wziął rękawicę i zawołał.

— Na ostre!

Książę się z miejsca nie ruszał.

— Natychmiast! — krzyczał głosem drżącym, obracając się do swoich, aby mu drzewo podano.

Wstrzymać go nie było sposobu. Chciał mówić coś Sędziwój, przerwał wołaniem rozpaczliwym Białły...

— Na ostre!! na ostre.

Kupa ludzi, która otaczała ich, na dany znak rozstępować się zaczęła...

Bartek z Więcburka jechał na plac spokojny i obojętny, Białły rzucił się rozwścieczony, miotał na koniu i ledwie się mógł utrzymać.

Widowisko było dziwne...

Niektórzy śmieli się, inni ciekawie cisnęli patrzeć końca w tej walce, w której łatwo było Bartkowi wywróżyć zwycięstwo...

Zaledwie stanęli w odległości jaka zwykle do takiego spotkania wyznaczana była — ledwie podnieśli drzewa i złożyli je jak należało, gdy

Biały wraziwszy ostrogi w bok koniowi jak szalony się puścił zniżając kopję, na Bartka.

Ruszył się i on z miejsca, lecz rozważniej — drzewo jego wymierzone dobrze uderzyło w ramię Białego, gdy jego kopia ośliznęła się staroście po zbroi i w ziemię zaryła...

Księżę nie mogąc się utrzymać na koniu, rzucił kopję, i padł na wznak obalony... Z rany krew buchnęła...

Sędziwój natychmiast dał znak, że walka była skończona, podniesiono księcia i zaniemiałego z bólu na rękach zawrócono do zamku...

Złotoryą zajęły wojska królewskie.

X.

Zbliżała się już zima, a Biały jeszcze pod pozorem rany, z której go leczono i wyleczono, jeszcze się na nią i na bole srogie skarżał — leżał w Złotoryi, wypraszając się ciągle wysłaniu do Węgier...

Nie zbyt nalegał na to Sędziwój, który pod strażą go trzymając, poznaawszy lepiej, nie obawiał się już wcale.

Chociażby był chciał coś przedsięwziąć nie-spokojny ów jeniec, nie miał z kim, bo wszyscy go odstąpili, oprócz wiernego Buśka.

Życie na zamku płynęło dosyć smutnie, jednostajnie, lecz dla zleniwiałego księcia znosić może...

Wolał je niż wygnanie do Budy, spotkanie oko w oko z królem Ludwikiem i wyrzuty, jakieby musiał znosić od niego.

Żądania swe posyłał królowi, królowej siostrzenicy, wszystkim znajomym, po których pośrednictwie się czegoś spodziewał — lecz w odpowiedzi otrzymywał tylko, że Ludwik gotów był mu coś za Gniewków zapłacić — a oddać go odmawiał stanowczo.

Zamiast wdzięczności za tę powolność i obietnice, Białą śmiertelne gniewy w sercu żywił przeciwko królowi i starej królowej Elżbiecie, przypisując jej i otoczeniu a doradcom to, że mu Gniewkowa dać nie chciano...

Raz jeszcze pewnie byłby się porwał napróżno za oręż, do którego nie miał szczęścia, gdyby najmniejszą mógł mieć nadzieję, że mu kto stanie do boku. Po pierwszych doświadczeniach — wzdrgali się wszyscy, słuchać nikt nie chciał.

Sędziwój bez straży puścić się go obawiał, parę więc dni upłynęło, nim orszak mu taki dobrano, aby się drużyną zdawał, chociaż był w istocie dozorem.

Prowadzić miano Białego na Kraków, gdzie właśnie znowu królowa stara bawiła i króla się pono spodziewano. Tu mógł się jego los rozstrzygnąć, jak on pochlebiał sobie jeszcze, oddaniem mu Gniewkowa, a w istocie wedle postanowienia króla, nową za ten dział jałmużną.

Kraków był bardzo ożywiony, gdyż ilekroć stara Elżbieta ze swym dworem zamieszkała tu lub w innym mieście, płynął za nią próżniaczy

tłum młodzieży, śpiewaków, pochlebców, młodych jej ulubieńców, wesołego ludu, którego obowiązkiem było rozrywać ją i nie dać jej na chwilę się zachmurzyć.

Z rana modliła się gorliwie i szła na nabożeństwo, potem na chwilę już samą jej zostawić nie godziło się, niewiasty, panicze, dworacy, komornicy, cytarzyści, muzykanci, skoczki i trefni się mieniali się przez dzień cały i część nocy. Nie mogąc pisać sama, lubiła choć patrzeć na zwijającą się młodzież.

W tym pustym tłumie zuchwałych ulubieńców królowej, których się jak ognia obawiano, bo pewni bezkarności, dokazywali straszliwie i dopuszczali się oburzających gwałtów — mniej było Polaków niż Węgrów. Ostatni właściwie składali towarzystwo najulubieńsze królowej, do którego była nawykła.

Przez tych faworytów u niej wszystko było można wyrobić, bez nich nawet dojść do niej nikt nie mógł.

Nie było dnia bez muzyki i śpiewów na zamku, a bez jakiejś zamieszki na mieście, bo Węgry zawsze się tu znajdowali, jak w zawojowanym kraju...

Ze skargami na nich docisnąć się do królowej nie było można, a docisnąwszy, nie wskórać.

Przybywszy do Krakowa Białą, drogą znużoną, choć go na zamek prowadzić chciano,

oparł się temu, nie życząc sobie ze starą królową się spotykać. Zażądał gospody w mieście, i, gdy mu ją wyznaczono w pobliżu Wawelu — zabrał się tu odpoczywać.

Widok życia, gwaru, wesołości jaka tu panowała, rozwielnionych Węgrów, tłumnie przybywających ziemian — i wszystkiego co znamięnowało potęgę króla i jego spokojne panowanie, rozjątrzył księcia...

Na złe jego usposobienie wpłynęło i to, że znalazł Jaska Kmitę z Wiśnicza starostą tutaj, przypominającego mu starostę Sieradzkiego tegoż nazwiska, który się do pokonania go przyłożył.

Najrzał też z okna, jak mu się zdawało, Lasotę, który go opuścił, a miał doń żalę w sercu. Cóż dziwnego że sam więźniem będąc, wśród wesołych i rozhułanych smutnym, wszystkim zarówno na których patrzył, życzył jak najgorzej.

W dzień Ś. Mikołaja, dość uroczyście obchodzony, Biały do kościoła nawet pójść nie chciał, leżał na pościeli, Buśka wysyłając po plotki, lub że dzień był nie zbyt mroźny a pogodny, w bramie stawał i przechodzącym się przypatrywał.

To go jedno cieszyło, że Węgrowie przesuwający się wtedy z zamku, wszyscy z Polaków się najgrawali, w czem on im dopomagał, bo się był języka ich w Budzie nauczył, a Polacy narzekali na ucisk madziarów, czemu też potakiwał, jętrząc jednych na drugich.

Bawiło go to przez dzień cały...

Nazajutrz rano, wyszedł znowu przed wrota, aby się podobnem widowiskiem rozerwać — lecz tylko co się usadowił na czatach, gdy od strony bramy Bocheńskiej, do której nie było daleko, dał się słyszeć tumult i wrzawa zapowiadająca coś groźnego.

Księżę za miecz porwawszy, ciekaw co się stać mogło, natychmiast pobiegł, gdzie się już krzyki coraz głośniejsze i wyraźniejsze słyszeć dawały...

Do Bocheńskich wrót ani się było można docisnąć...

Wśród ogromnego zbiegowiska gawiedzi, pomiędzy którą łącno było Węgrów rozpoznać — stała fura siana, wysoko się piętrząca...

Ludzie powiadali że siano to, należące do Przedbora z Brzezia, który je dla koni swych sprowadził — stało się przyczyną zgiełku i okrutnego zajścia. Węgrzy chcieli je sobie przywłaszczyć — straż którą Przedbor postawił, broniła...

Z jednej i drugiej strony do oręży się rwano.

Księżę uradował się niezmiernie. Z wielkim trudem przebił się pod ścianami domostw jak mógł najbliższej wozu i do Polaków wołać począł.

— Bijcie Węgrów — co ich żałować będziecie!!

I natychmiast do madziarów w ich języku — krzyknął.

— Co wy sobie lachom dajecie rozkazywać? Albo to wy nie panami tu? Alboście nie królewscy?

Zgał tak jednych i drugich na przemiany, a niewiele potrzeba było, aby ich do walki pobudzić.

Węgry nie ustępowali, ludzie Przedbora bronić się zabierali. Niektórzy się już suchemi rękami okładać poczęli. Rosło zbiegowisko w oczach.

Z okolicy zamku Węgrowie biegli — z całego miasta ziemian, pachołków, rycerstwa co było, szło zasłyszawszy że Węgry dokazują.

Rozdrażnienie już przygotowało tak obie strony, że wóz siana starczył, aby wybuchło zajęcie krwawe...

Zapobiedz by mu może jeszcze mógł ktoś baczniejszy, gdyby Biały, którego tu nikt nie znał, głosu nie podnosił i oleju do ognia nie dolewał.

W tej chwili, gdy już do utarczki przyjść miało, krzyki doszły na zamek i królowa, domyślając się że Węgry coś spletać musieli — wysłała Jaśka Kmitę z małym oddziałem ludzi, aby porządek utrzymał.

Zapóźno przybywał. Madzary rozwściekieni tem, że się im opierać i burzyć przeciwko nim śmiano — dobyli mieczów i naciągali luków...

Jaśko Kmita zbliżył się i krzyczał na Węgrów w imieniu królowej, aby wnet odciągali na zamek, gdy jeden z nich luk napiąwszy strzelił, a belt w szyję ugodził starostę tak nieszczęśli-

wie, iż w miejscu zachwiał się zaraz — padł z konia i ducha wyzionął.

Ledwie się to stało... a już jak fala burzą gnana, tłum, który dotąd poruszał się i drgał tylko — pochłonał madzarów w sobie...

— Bij, zabij! — wołano ze wszech stron.

Biały też wtórował, krzycząc.

— Bij — zabij!

Ledwie dwóch z jego straży, którzy pogonili za nim, potrafili z ciżby wychwycić i uprowadzić z sobą. Ale nie dał się do gospody wieść, bo mu to sprawiało jakąś radość złą, że widział mordujących się z sobą...

Węgry już tylko się bronić musieli... takie gromady na nich się rzuciły z zawziętością wielką za zabitego Kmitę.

— Bij—zabij! nie żywić nikogo! — krzyczano po całym mieście i gdziekolwiek winny czy niewinny węgryzn się trafił, mordowano.

Była to pomsta krwawa za długo znoszone upokorzenie...

W samym domu Przedbora, chociaż ocalić się ich starał, zginął słowak ze dworu królowej, Michał Pogan, zginęło dwóch ulubieńców Elżbiety...

Biały mógł się krwawym nacieszyć widokiem, bo co chwila ścigano kogoś w ulicach, a z kamieniem, do których się skryli, oknami wyrzucano zabitych...

Nikt już nie miał mocy powstrzymać roz-

wściezzonego tłumu, który aż do zamku pędził Węgrów, a że tu bramy były zaparte, bo się obawiano napaści na cały dwór starej królowej, kobiety rzucały z okien drabinki dla uchodzących a lud je strącał i chwycił — nie patrząc kogo, byle się madżarem wydawał. . .

Książę, jak gdyby widowisko to dla niego było sprawione, nie wszedł do izby przez cały dzień — od wrót swych krzycząc.

— Bij — zabijaj!!

Ludzie go poskromić nie mogli, a Buśko przelekły na próżno targał za szaty, błagając aby się w ten wrzający tłum nie mieszał i miewał.

Odpychał go Biały — i — choć krwawe zajście dla niego nie mogło przynieść żadnej korzyści — przyklaskiwał mu. . .

Noc dopiero ten uliczny dramat zamknęła — gdy już na mieście ani jednego nie było madżara, a Wawel zamknięty, ostawiony strażą — jakby wśród oblężenia od nieprzyjaciela bronić się musiał.

Książę obchodził go do koła i wołał.

— Tak samo królowę oblegają, jak mnie niedawno w Złotoryi. . . Palec Boży nad nimi! zemsta Boża!! Tak samo też Ludwik i ona z królestwa tego uchodzić będą musieli, jakom ja uszedł z mojej dzielnicy. . .

Przez całe trzy dni, dopóki się w Krakowie nie uspokoiło, i królowa w podróż się nie wy-

brała, książę pod Wawelem przechadzał się, radując jej losowi.

Byłby może i wyjeżdżającej szyderstwem jakim drogę zastąpił, lecz zasnął ranek, a królowa niespodzianie i cicho wymknęła się z miasta.

Tą małą pociechę z cudzej szkody, skończył się pobyt Białego w Krakowie. Przysłano mu tu ostateczne słowo króla, iżby okupem za Gniewków się zaspokoił, który mu z łaski dawano, a uroczystą podpisał ugodę, po czem wolność odzyska. . .

Książę na wszystko się zgodził, poddał, lecz w piśmie jakie dał, zawarował sobie rychłą grzywien przyobiecaną wypłatę. Po czem małą część przyrzeczonego okupu wzięwszy, z dziwną myślą powlókł się do Gdańska, gdzie Fryda do klasztoru wstąpić chciała.

Nie znalazł jej tu, ani żadnej o niej wieści, a że go już nigdzie nie nie ciągnęło, w Gdańsku osiadł, czekając na pieniądze od króla.

Tu kilka lat w bezczynności smutnej, zleniwały, nie zdolny do niczego, ostatnich dziesięciu tysięcy wyglądając, przespał aż do r. 1380.

Król Ludwik wręcić odesłał mu je przez Piotra Małochę starostę Kujawskiego i podkanclerzego Szymona.

Wieczorem złożyli mu okup ten, z którego miał nazajutrz króla kwitować i podpisać zrzeczenie się wszelkich praw do swej dzielnicy.

Lecz nocą myśl mu przyszła szalona, ujścia bez podpisu do Bukowca (Lubeki)... i — nazajutrz już go w Gdańsku nie było...

Powiadano, że tam księżę dworem się wielkim otoczył, i pańsko występować zaczął, odgrazając się że Ludwikowej śmierci doczeka i córek jego na tron nie dopuści.

Czcze to były słowa, z których Buśko nawet się uśmiechał...

Zawieruszyło się potem w Wielkiej Polsce, a Biały napróżno oczekiwał aby go tam wezwano. Zapomnieli o nim wszyscy i po śmierci króla Ludwika, a ci co nie chcieli córki jego, oglądali się na Ziemowita Mazowieckiego, nie na niego...

Snując się tak z miasta do miasta, a nieśmiejąc czy niechęcąc powrócić do klasztoru, zmarł Władysław w podróży; w Strasburgu 1 Marca 1382.

W opactwie z którego uszedł, pamięci niewdzięcznego położono kamień grobowy...

Tak jeden z ostatnich Piastów, marzący o koronie, skończył zapomnianym, zapartym wygnaniem między obcemi.

Krew Piastów, którą niemieckich matek mleko uczyniło obcą i zimną — nie miała już miłości gniazda swego, zni ją natchnąć mogła.

KONIEC.

MUZEUM
JIK
292

